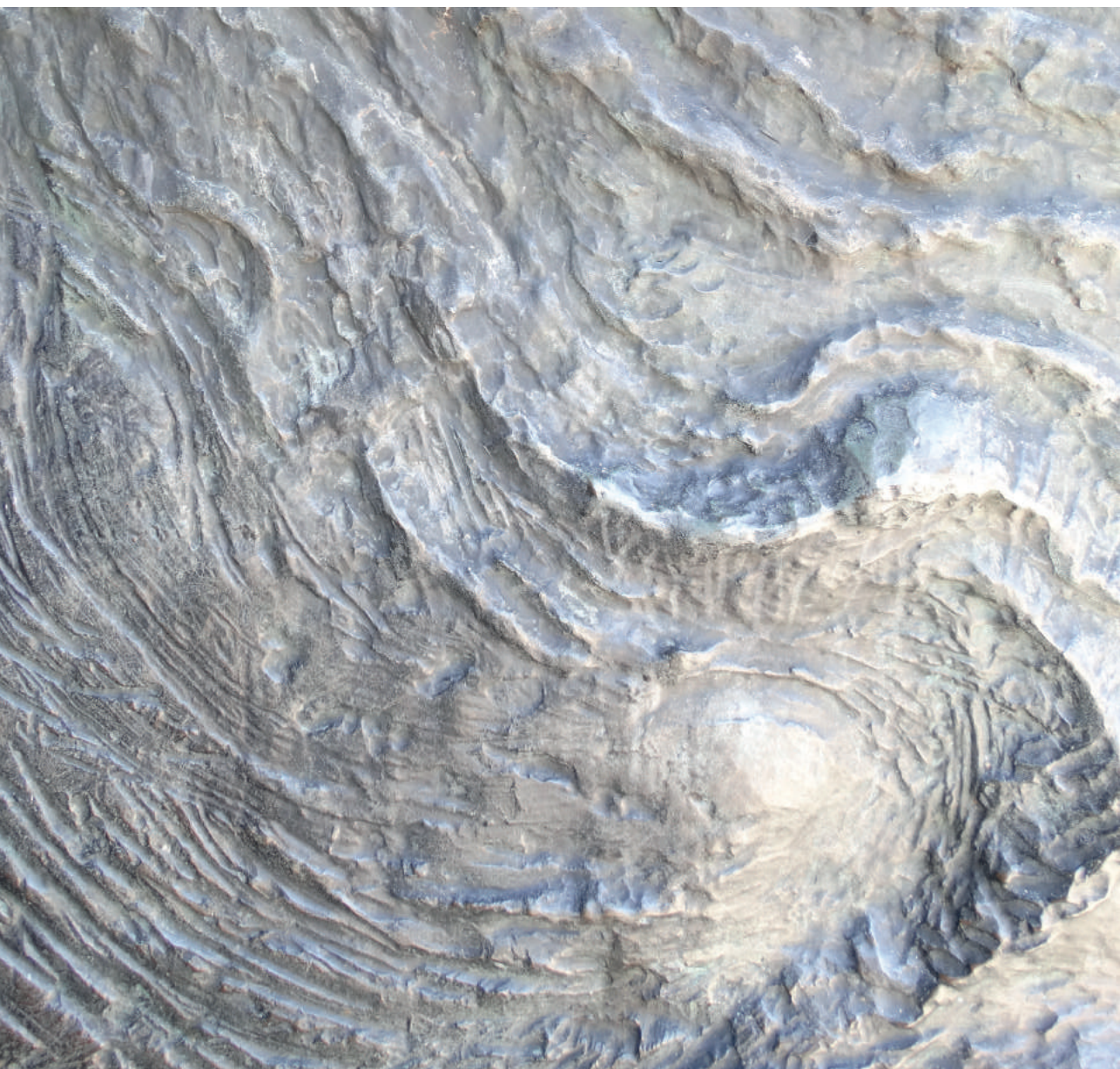


Wyspa Tłumaczy

Zbiór pierwszy:

# Gdzie indziej





Wyspa Tłumaczy

Zbiór pierwszy:

# Gdzie indziej

pod redakcją Marty Crickmar i Olgi Kubińskiej

Gdańsk 2015



# Słowo wstępu

Niniejsza publikacja powstała w ramach projektu Wyspa Tłumaczy, realizowanego przez Centrum Translatoryczne na Uniwersytecie Gdańskim. Na jej (elektronicznych) stronach znalazło się kilkanaście znakomitych tekstów przetłumaczonych przez studentów i doktorantów gdańskiej filologii angielskiej oraz słuchaczy Studiów Podyplomowych Translatoryka. Oryginalne utwory, które zainspirowały nas do twórczej pracy, powstały na zamówienie Edinburgh International Book Festival, a ich autorami są znani i cenieni pisarze, w większości, choć nie tylko, związani ze Szkocją. Należy wspomnieć, że pomysł, by materiału źródłowego poszukać w Kaledonii, zawdzięczamy działającemu na naszej uczelni Zespołowi Badań nad Szkocką Literaturą i Kulturą.

Oryginalny zbiór opowiadań, esejów, wierszy i kreskówek, opublikowany na stronie edynburskiego festiwalu, nosi tytuł *Elsewhere*. Wszystkie teksty, w mniej lub bardziej dosłowny sposób, ukazują zatem jakieś *g d z i e i n d z i e j*, a powracającymi motywami są w nich podróże, ucieczki czy konfrontacje z nieznanym. Proponujemy czytelnikom ekscytujący rejs na bezludne wyspy i egzotyczne plaże. Niekiedy tytułowe *g d z i e i n d z i e j* okazuje się pełne niebezpieczeństw, innym razem należy do alternatywnej, fantastycznej czy też baśniowej rzeczywistości. Czasami w jego poszukiwaniu udać się trzeba do dalekich krajów, innym razem wystarczy zajrzeć w głąb siebie. Bywa, że autorzy tekstów zabierają nas nie tylko *g d z i e i n d z i e j*, ale sytuują akcję swoich utworów również *k i e d y i n d z i e j*, na przykład w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Wielu zgromadzonych tu autorów na co dzień zajmuje się twórczością skierowaną do dzieci i młodzieży, stąd może problemy młodych ludzi są częstym tematem kolekcji. Bohaterowie tekstów przeżywają pierwsze roz-

czarowania miłosne, stają przed trudnymi wyborami, nie mogą odnaleźć się w nowym, nieprzyjaznym otoczeniu. Ich głosy są zabawne, wzruszające, zagubione. Zawsze jednak warte wysłuchania.

Cieszymy się niezmiernie, że udało nam się nawiązać tak owocną współpracę z Edinburgh International Book Festival i jesteśmy wdzięczni autorom oryginalnych tekstów za zainteresowanie naszym przedsięwzięciem oraz udzielenie zgody na zamieszczenie przekładów ich twórczości w niniejszym e-booku. Mamy nadzieję, że lektura zaprezentowanych tu utworów sprawi czytelnikom tyle przyjemności, co nam praca nad nimi. Wszystkich pragnących choć na chwilę przenieść się *g d z i e i n d z i e j* gorąco zapraszamy na Wyspę Tłumaczy!

*Marta Crickmar, Olga Kubińska*

**Gdzie indziej**

*Dłonie Marilyn* Gill Arbuthnott są jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere (Gdzie indziej)* dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Marilyn's Hands* by Gill Arbuthnott is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).



Gill Arbuthnott

# Dłonie Marilyn

przełożył Piotr Staniewski

Głos Julii przez telefon brzmiał niemalże histerycznie. Z drugiej strony, często gadała jak nakręcona i nie dało się brać tego za oznakę jej nastroju. Udawałam, że muszę poprzekładać nieistniejące plany na ten dzień, abym mogła spotkać się z nią na lunchu. Może znalazła mi jakieś zlecenie w roli lektora albo przesłuchanie. Nawet jeśli nie, to przynajmniej zjem porządny posiłek.

Nie miałam w portmonetce dość pieniędzy na drinka, więc czekałam na Julię przed restauracją. Była spóźniona dwadzieścia minut, gdy wysiadła ze swojego samochodu w żółtej garsonce z tafty, która przylegała do jej sztucznie opiętego tyłka tak, jakby jej ciało zostało zapakowane w ciuchy próżniowo. Niektórzy z jej klientów musieli przynosić niezłe dochody. Przesłałyśmy sobie buziaka i wprowadziła nas do środka.

Gdy czekałyśmy na swoje miejsca, zauważyłam, że intensywnie wlepia we mnie wzrok.

– Co? – spytałam, zakładając, że to badawcze spojrzenie sugerowało jakieś niedociągnięcie z mojej strony. – Rozmazał mi się tusz?

Zaśmiała się.

– Oczywiście, że nie, skarbie. Po prostu próbuję odświeżyć sobie obraz twojej uroczej buzi.

Czas oczekiwania na ostrygi spędziłyśmy, rozmawiając o opłakanym stanie sztuk scenicznych. Innymi słowy o tym, czemu nie dostawałam więcej ról. Temat potrafił wprawić Julię w pochmurny nastrój – mnie na pewno dołował jak cholera – lecz dzisiaj zmieniła go beztrąsko. Sprawiała wrażenie, jakby

znała jakąś niesamowitą tajemnicę i ledwo mogła powstrzymać się przed jej wyjawieniem, ale gdy spytałam się o to wprost, odparła tylko:

– Najpierw zjedzmy.

Był to najlepszy – i największy – posiłek, jaki zjadłam od paru tygodni. Gdy podano kawę, Julia odsunęła ją na bok stołu i złożyła przed sobą dłonie jak do modlitwy.

– Obiecuj mi, że mnie wysłuchasz, zanim cokolwiek powiesz, i że poświęcisz trochę czasu, by wszystko porządnie przemyśleć, niezależnie od tego, jaka będzie twoja początkowa reakcja.

Była to dość dziwna przemowa, nawet jak na Julię, i natychmiast nabrałam podejrzeń, myśląc o pornografii albo innych okropnych możliwościach.

– OK – powiedziałam ostrożnie.

– To niesamowita okazja.

Sączyłam kawę, patrząc, jak ona wpatruje się w moją twarz.

– Marilyn – odparła.

Trochę kawy wylało się, gdy odkładałam filiżankę.

– Marilyn? – musiałam wyglądać, jakbym nie wierzyła.

– Wiesz o czym mówię, prawda?

Rzecz jasna wiedziałam. Wszyscy wiedzieli. Marilyn. Ikona. Ciało pożądane przez wszystkich, cudowna twarz, magnetyczna prezencja. Kamery skupione tylko na niej. Każdy, kto dzielił z nią scenę lub kadr filmu, ryzykował, że będzie niczym więcej niż chodzącą przystawką.

Przynajmniej zanim narkotyki w końcu dały się jej we znaki w sposób nagły i nieoczekiwany (choć wszyscy wiedzieli, że je brała) i spustoszyły jej umysł, wykończyły ją, zanim film dobiegł końca.

Od tamtej chwili rozpoczęto poszukiwania kolejnej osoby, która mogłaby wkroczyć, przejąć zadanie, zagrać tę rolę. Zagrać obie role – Marilyn i osobę, którą ona grała. Tymczasem obecna Marilyn leżała w jakiejś klinice, poprzekłuwana rurkami, spowita sterylnym powietrzem, zastygła. Czekająca na to, by oddać komuś swoją tożsamość. Czekająca na to, by oddać swoją twarz.

– Żartujesz.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że cokolwiek powiedziałam, lecz słowa zabrzmiały w powietrzu.

Julia się uśmiechnęła.

– Wiedziałam, że tak powiesz, skarbie. Po prostu posłuchaj i pomyśl, to wszystko, o co proszę. Jesteś czystym płótnem, dokładnie tym, czego trzeba. Twoja własna twarz nie jest dobrze znana publiczności – w końcu przeważnie dostajesz drobne role w teatrze.

Wykrzywiła usta z obrzydzeniem, aż wyglądały jak koci kuper. Nie próbowała udawać, że oddanie dla sztuki było ważniejsze niż pieniądze.

– Ale ja nawet nie wyglądam jak ona.

Bawiła się nietkniętą kawą.

– Sprawdziłam cechy fizjonomiczne, których oni szukają, i struktura twoich kości zgadza się w dziewięćdziesięciu trzech procentach. Poza tym brzmisz jak ona, a ćwiczenie głosu tylko uwydatniłoby to podobieństwo.

– Przemyśl to, skarbie, pomyśl o przyszłości, jaka cię czeka...

– Nie ma mowy.

Julia uniosła dłoń.

– Nie słucham cię teraz. Pojedź do domu i prześpij się z tym. To szansa jedna na milion. Mam klientów, którzy zabiliby, dosłownie zabiliby, aby zostać Marilyn. Pomyśl o pieniądzach, o adoracji...

– To ty myślisz o pieniądzach, tak?

Jej twarz stała się bez wyrazu i wiedziałam, że posunęłam się za daleko.

– Oczywiście, że tak – odparła zwięźle. – Jestem twoją agentką i tym się zajmuję. Znajduję ci role, ty dostajesz gażę, a ja biorę mój procent. Tak to działa. Przeważnie.

Staralam się wyglądać na skruszoną.

– Julia, przepraszam. Ja tylko... ten pomysł mnie zaszokował, to wszystko.

Uśmiechnęła się ponownie. Kupiła to. Przynajmniej dalej potrafiłam grać.

– Rozumiem. Nie rozmawiajmy o tym teraz więcej. Wróć do domu, przemyśl wszystko porządnie, a ja zadzwonię jutro. – Przyglądała mi się intensywnie.

– Byłabyś szalona, gdybyś pozwoliła takiej szansie przelecieć ci przez palce. Umówię wstępne spotkanie, jak tylko dostanę od ciebie zielone światło.

Przytaknęłam.

– OK. Przemyślę to.

Kiedy wróciłam do domu, wysunęłam stopy ze stylowych butów, zrzuciłam z siebie eleganckie odzienie i, ubrana jak fleja, zmywałam makijaż. Moja twarz w lustrze nagle zaczęła wyglądać, jak gdyby należała do obcej osoby.

Gapiłam się w nią, próbując dopatrzeć się tych dziewięćdziesięciu trzech procentów zgodności, o których mówiła Julia. Nie było łatwo uwierzyć, że była to prawda.

Ale jeżeli tak, to co wtedy? Co jeśli postanowię unicestwić samą siebie i nosić twarz Marilyn zamiast swojej?

Czekaloby mnie bogactwo, sława. Jak się z tym czułam? Nie oczekiwałam nigdy, że będę sławna, naprawdę sławna. W zasadzie to, czego kiedykolwiek oczekiwałam, to u z n a n i e, coś dużo mniej ambitnego. Nigdy nie traktowałam prawdziwego gwiazdorstwa jak coś więcej niż fantazję.

Z drugiej strony bogactwo było czymś, czego pożałowałam. Nie zdarzyło mi się, od kiedy jestem w stanie to stwierdzić, spędzić chociaż tygodnia, w trakcie którego nie martwiłabym się o pieniądze. Po części była to, rzecz jasna, moja wina – nie można powiedzieć, że wybrałam sobie karierę słynącą z finansowej stabilizacji. Pragnęłam jednak, by nie musieć się już zastanawiać, zanim odważę się coś kupić. Chciałam oddawać się swoim zachciankom, opływać w luksusy. Teraz miałam na to szansę. Jak powiedziała Scarlett O’Hara: „nigdy w życiu nie będę więcej głodna”<sup>1</sup>.

Nie popełniłabym błędów swoich poprzedniczek. Nie uległabym narkotykom albo nienawiści do siebie samej. Mogłabym przeżyć jako „bogini wśród śmiertelników”. Mogłabym grać tę rolę bez końca. Dzięki komórkom macierzystym, hormonom i Bóg wie czemu jeszcze, z tego, co oni stosują, mogłabym być Marilyn przez całe dekady, jeżelibym chciała.

Nie zaszkodziłoby pozwolić Julii na umówienie wstępnego spotkania. Nie musiałabym się do niczego zobowiązywać. Wysłuchałabym, co mają do powiedzenia, i wtedy mogłabym podjąć decyzję.

Zadzwoniłam od razu do Julii. Nie próbowała ukrywać ulgi, jaką czuła.

– Dobra decyzja, skarbie. Wiedziałam, że dostrzeżesz w tym wspianiałą okazję, gdy tylko będziesz miała czas do namysłu, choć wczoraj obawiałam się, że możesz być trochę przeczulona na punkcie całego tego pomysłu.

– Od razu skontaktuję się z ludźmi od Marilyn. Nie wychodź, póki nie oddzwonię, OK?

Zadzwoniła dwadzieścia minut później.

<sup>1</sup> Tłumaczenie Celine Wieniewskiej.

– Widzimy się z nimi dziś o trzeciej. Każdy dzień opóźnienia w zdjęciach jest dla nich stratą pieniędzy, więc chcą, by wszystko ruszyło najszybciej, jak się tylko da. Przyjadę po ciebie o drugiej. Zwiąż włosy, by mogli dobrze przyjrzeć się twojej twarzy.

Rozłączyła się, zanim mogłam cokolwiek powiedzieć.

Dokładnie o drugiej samochód Julii zatrzymał się z piskiem opon przed moim budynkiem i ruszył z warkotem, gdy wsiadłam do środka. Ona nigdy nie była na czas. Nigdy. Aż do teraz.

– Dobra – powiedziała. – Ja zajmę się gadaniem, a ty skup się na wyglądanu jak Marilyn.

– Ale ja jej nie przypominam – zaoponowałam.

– Przypominasz swoim wnętrzem – odparła. – Pamiętaj, że liczy się struktura kości. Poza tym po prostu wyobraź sobie, że jesteś nią, a będzie to aż biło od ciebie.

Wykonała gest, który miał rzekomo przypominać bijącą blaskiem Marilyn, a ja zaśmiałam się wbrew sobie.

Twarz Marilyn wpatrywała się we mnie z każdej ściany, nieziemska, promienista, olśniewająca, niemożliwie czarująca. Cały ten pomysł wydawał się absurdalny w świetle jej licznych uśmiechów. W jaki niby sposób mogłabym stać się Nią?

Sekretarka zaprowadziła nas do sali konferencyjnej i siłą wyobraźni próbowałam wmówić sobie, że jestem Marilyn. Po raz pierwszy Julia puściła mnie przodem w drzwiach.

Trzy kobiety, dwóch mężczyzn, ich spojrzenia skupione na mojej twarzy, jakby przyciągane niewidzialnymi magnesami. Zatrzymałam się tuż za drzwiami, aby mogli się napatrzeć, obróciłam twarz w jedną stronę, potem w drugą.

Jedna z kobiet przypomniła sobie o dobrych manierach i wstała.

– Proszę, usiądźcie. Jestem Charlotte Aungier – powiedziała. Usadowiliśmy się. – Moi współpracownicy i ja mamy za zadanie znaleźć nową Marilyn. Musimy wyważyć pośpiech z dokładnością, jak zapewne rozumiecie. Dokumentacja przesłana przez Julię wygląda obiecująco, a nagrania głosu są jak najbardziej zachęcające.

– To coś, na co ludzie zwracali uwagę przez całe moje życie – odparłam moim najlepszym głosem Marilyn. – Dzięki niemu dostaję zlecenia jako lektor, ale odstrasza też czasami agentów. Mówią, że jest zbyt rozpraszający.

Przytaknęła, nie odrywając spojrzenia od mojej twarzy nawet na moment. „Więc tak to by wyglądało, cały czas”.

– Chcielibyśmy zrobić teraz pani parę zdjęć. Pomiary i tak dalej, dokonamy dokładnego porównania. – Kiwnęłam głową. – Roger zaprowadzi panią do studia.

Starszy z tych dwóch mężczyzn wstał i przytrzymał dla mnie drzwi. Zostawił mnie w studiu z paroma technikami i wrócił pół godziny później, po tym, jak ci wykonali, jak mi się zdawało, parę tysięcy zdjęć i pomiarów.

Gdy odprowadzał mnie z powrotem, zatrzymałam się przed zdjęciem, na którym Marilyn, najwyraźniej wzięta z zaskoczenia, zerkała zza prawego ramienia, z lekko zmarszczonymi brwiami, hipnotyzująca.

– Musi ją pan całkiem dobrze znać – powiedziałam do Rogera.

– Spotykałem ją często, oczywiście.

– Jaka ona jest n a p r a w d ę?

Wskazał na ściany.

– Jak to, co widzi pani tutaj.

– Ale jaka ona jest jako osoba? Kiedy nie jest przed kamerami?

Wyglądał na zdezorientowanego.

– Nie jestem pewny, czy rozumiem, o co pani chodzi. Ona zawsze jest Marilyn. Nie ma n i c więcej.

Gdy wróciliśmy do sali konferencyjnej, widać było, że Julia z powodzeniem doprowadziła do końca swoją część spotkania. Na mój widok jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

– Wszystko w porządku, skarbie?

– Tak.

Charlotte Aungier powiedziała:

– Sądzę, że było to bardzo pozytywne spotkanie. Przeanalizujemy badania, które właśnie wykonaliśmy, i skontaktujemy się z wami w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Jeżeli mogę, to chciałabym powiedzieć nieoficjalnie, że mam wielką nadzieję, że to się uda.

Julia odwiozła mnie do domu, jadąc z umiarkowaną jak na nią prędkością. Być może teraz, gdy nagle nabrałam wartości, zaczęła dbać o swój kapitał.

– Mój Boże, skarbie, byłaś niesamowita. Po prostu wiem, że oni na to pójdą. Boże, czyż życie nie jest wspaniałe?

Jeżeli chodzi o mnie, to zaczęło do mnie docierać, że to się dzieje naprawdę. Czułam się podekscytowana, przerażona, pochłonięta marzeniami o tym, jak może wyglądać moja przyszłość.

Ledwo co spałam tej nocy i pierwszą rzeczą, którą zrobiłam rano, było pójście na siłownię, by pobiegać i porządnie się ocucić. Zanim skończyłam, podjęłam już decyzję. Gdy wróciłam, lampka na automatycznej sekretarce migiała.

– Tu Julia. Zadzwoń.

Nie musiałam przebijać się przez jej sekretarkę. Najwyraźniej tkwiła przy telefonie, czekając.

– Chcą cię, skarbie. Dostałaś rolę! – Szczebiotała radośnie dalej, ale nic z tego, co mówiła, nie przedzierało się do mojej świadomości. Czekałam na przerwę w jej monologu.

– Julia, powiedz im, że chcę ją zobaczyć.

– Co?

– Chcę zobaczyć Marilyn, zanim podejmę decyzję.

– Ale skarbie, to nie jest właściwie...

– Inaczej tego nie zrobię.

Julia westchnęła.

– OK. Zadzwonię, gdy załatwię sprawę.

Wszyscy próbowali przekonać mnie, żebym nie szła, ale choć raz w moim życiu, pełnym zbyt wielu ustępstw, opór wzmagał determinację.

To Charlotte Aungier zabrała mnie tego popołudnia do dyskretnej kliniki na przedmieściach, gdzie czekała Marilyn.

Jej widok nie był dla mnie aż takim wstrząsem. Widziałam wiele osób w takim stanie na filmach. W jej gardło wprowadzono rurkę, a powieki były zaklejone taśmą. Jej włosy leżały płasko na poduszce pod jej głową. Przewody prowadzące do czujników pulsometru unosiły się i opadały łagodnie z każdym sztucznie podtrzymanym oddechem, a jakiś płyn ciekł z plastikowego worka

wężykiem, prowadzącym do żyły w jej ręce. Wydaje mi się, że przyglądałam się jej z dziesięć minut, zanim ją dotknęłam. Miała ciepłą i gładką skórę i po raz pierwszy zauważyłam, jak piękne miała dłonie – jej własne, rzecz jasna.

Charlotte stała przy drzwiach, wyraźnie skrępowana.

– Nie mogę sobie przypomnieć – powiedziałam – jak długo ona to robiła?

– Prawie pięć lat – odrzekła. Głos Charlotte wydawał się napięty i przypuszczałam, że nie lubiła, gdy przypomniano jej o tym, że na jej barkach spoczywała część odpowiedzialności za ruinę przed naszymi oczami.

– I była... która... trzecia?

– Czwarta. – Charlotte niepewnie przesunęła się w stronę okna.

A ja mogłam zostać piątą.

– Jak miała wcześniej na imię?

– Hilary Tyler. Jej chłopak wysunął jej kandydaturę. Była nikiem, naprawdę. Wygrała parę konkursów piękności, zagrała kilka drobnych ról, ale nie była gotowa na sławę.

Stanęła obok mnie i zrobiła minę, która miała być pokrzepiającym uśmiechem.

– I tutaj masz wielką przewagę. Już jesteś prawdziwą aktorką. Dokładnie wiesz, na co się piszesz.

Być może, jakkolwiek by patrzeć, miała rację. O dziwo, teraz – widząc leżącą obok Marilyn – poczułam się spokojniejsza o całą sprawę.

– Wyślemy Julii całą umowę jutro z samego rana, abyś mogła przyjrzeć się jej ze swoimi prawnikami.

– Dobrze. Jestem pewna, że nie będzie z nią żadnych problemów.

Gdy to powiedziałam, na jej twarzy zagościła wyraźna ulga. Było jasne, że spodziewała się, że wizyta u Marilyn wytrąci mnie z równowagi.

Ostatnie pytanie zadałam, gdy wlekłyśmy się z powrotem ulicami w godzinach szczytu.

– Zastanawia mnie. Co się z nią stanie po... rekonstrukcji?

Skrzywiła się.

– Nie mam pojęcia. Chyba po prostu wyłączą wszystko. Po tym i tak nie ma to już sensu.

– Nie, wydaję mi się, że nie ma.

Gdy wysiadłam z samochodu, Charlotte wychyliła się zza okna i powiedziała:

– Będiesz wspinałą Marilyn. Jedną z najlepszych.



Ciągle myślałam o jej dłoniach. Ich obraz pojawiał się przede mną raz za razem przez całą ostatnią noc. Te piękne dłonie, niebędące własnością Marilyn. Znalazłam kanał, na którym wyświetlano jeden z jej ostatnich filmów, nagrałam go i oglądałam w kółko, szukając ujęć, gdzie były widoczne.

Tak wyglądałaby moja rzeczywistość, jeżelibym się na to zgodziła. Moje życie przestałoby mieć jakikolwiek sens oprócz bycia surogatem Marilyn. Nikogo nie obchodziłyby moje dłonie.

Była to wyjątkowo długa noc i poza duchami nieznanymi mi kobiet nie miałam nikogo, z kim mogłabym ją spędzić.

„I była... która... trzecia?”

„Czwarta”.

A ja miałam zostać piątą.

Julia przywitała mnie z promiennym uśmiechem i kieliszkiem szampana w dłoni. Choć Charlotte Aungier była idealnie odstawiona i umalowana, zmęczenie po ostatnich tygodniach uwidaczniało się w postaci cieniutkiej skóry wokół jej oczu.

Skończyłam malować ostatni paznokieć i spojrzałam na swoje dłonie. Chciałam, aby były doskonałe, tak jak wszystko we mnie.

Odezwało się pukanie do drzwi.

– Już pora – powiedziała Charlotte. – Gotowa?

Panowała cisza, gdy szłyśmy w półmroku wzdłuż sceny i nagle zapaliły się światła i wzniosły się okrzyki.

– Marilyn!

– Marilyn, tutaj!

– Tędy, Marilyn!

Tysiące lamp błyskowych wybuchło w jednej chwili.

Uniosłam moją dłoń, moją piękną dłoń, przed twarz Marilyn, aby zasłonić się przed rażącym światłem, rozchyliłam usta w tym kultowym uśmiechu i pomachałam lekko.

„Jestem Marilyn. Wasza bogini. Czciście mnie”.

– Opuść rękę, skarbie – wyszeptła Julia. – Oni chcą zobaczyć twoją twarz. Nikogo nie obchodzi twoje dłonie.

*Wraki nieboraki* Alana Bissetta są jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere (Gdzie indziej)* dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Flotsam & Jetsam* by Alan Bissett is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Alan Bissett

# Wraki nieboraki

przełożyła Marta Crickmar

Na horyzoncie powiewały żagle *dhow* – leniwej flotylli płóciennych płetw rekina. Kate osłoniła oczy, by się im przyjrzeć. Widok łodzi przywoływał na myśl sceny z powieści fantastycznych, które czytała jako nastolatka. Musiała sobie powtórzyć, że to tylko zwykłe kutry rybackie, a nie nadciągająca gwardia jakiegoś walecznego, obcego gatunku wyposażonego w macki. Jednak to miejsce, gdzie chłodna morska piana muskała koniuszki jej stóp, a niebo błękitnie poziewywało, wprowadzało ją w senny stan rozprężenia, uwalniając jej wyobraźnię z pułapki, w jakiej zatrzasnęło ją Glasgow. Żadnych autobusów pełnych ludzi o „skserowanych” umysłach, przerzucających strony „Metra”. Żadnych przygnębiających zebrań, których powracającym motywem było słowo: „cięcia”, przeprowadzanych zanim – zgodnie z prawami nekromancji – cięcia rzeczywiście nastąpiły. Żadnego garbienia się nad ofertami pracy w gazecie, z filiżanką kawy kurczowo utrzymaną w dłoni. Dziś rano nastoletnia dziewczyna zrobiła jej masaż olejkami z trawą cytrynową. Hebanowe dłonie masażystki ugniatały i rozmasowywały te wszystkie mocno zasupłane, szkockie mięśnie. Dziewczyna poskarżyła się, że zdradza ją chłopak.

– Powinnas go zostawić – wymamrotała Kate z drugiego końca długiego korytarza, gdzie nastrojowa muzyka płynęła niczym mleko kokosowe.

Kate wybrała się na plażę, zarzuciwszy najpierw lniany szal na zaróżowione od słońca ramiona. Żółciutki, zanzibarski piasek błyszczał złociście. Szumiały fale. Przed nią rozciągały się nieskończone, słodkie, niewypełnione niczym godziny. Spakowała grube powieści, których lektura wymaga cza-

su, przestrzeni i hamaka – *Tęczę grawitacji, Annę Kareninę* – ale jak dotąd przekartkowała tylko przewodnik mający egzotycznymi obietnicami: „jedna z najsłynniejszych atrakcji turystycznych na świecie”, „tropikalna oaza spokoju”, „niezmierzone kilometry białego piasku obmywanego ciepłą, krystalicznie czystą wodą”. Już samo czytanie wprawiało ją w ten rodzaj oszołomienia, który zazwyczaj towarzyszy pierwszej, nastoletniej miłości.

Niedaleko na plaży czarnoskóra mężczyzna w koszulce LA Lakers gawędził z białą parą w okularach i kapeluszach słonecznych. Para przytakiwała, podczas gdy mężczyzna uśmiechał się i składał przed sobą dłonie w szczerym geście. Po piasku rozszedł się świergotliwy wybuch śmiechu. Zatem tubylcy byli przyjaźnie nastawieni do turystów. Oczywiście, że tak. Kate udzieliła sobie nagany za to, że bała się, iż będzie inaczej. Zrobiło jej się żal wszystkich, którzy z nią nie przyjechali, zasłaniając się litanią wymówek: Rochelle niechcąca roztrwonąć odprawy, Harriet walcząca z kredytem, Gerda, która wprawiła Kate w osłupienie, otwarcie wygłaszając swoje obawy przed byciem porwaną, zgwałconą, torturowaną – „Kate, nie wiesz, że w Afryce nie lubią białych? Nie oglądasz wiadomości?”

Mężczyzna w koszulce Lakersów skierował się w jej stronę. Kate miała szansę udowodnić Gerdzie jej błąd.

– Jak się masz? – uśmiechnął się mężczyzna, podchodząc do niej niespiesznym, rozluźnionym krokiem.

– Wspaniale! – odpowiedziała z uśmiechem. – Wasz kraj jest bardzo piękny.

– Dziękuję. Ale my czasami zapominamy. Codziennie słońce. Codziennie morze. – Przewrócił oczami, udając znudzenie. – Musicie nam przypominać.

– Chętnie.

– Skąd jesteś? Anglia?

– Szkocja – odparła Kate.

– Szkocja nie leży w Anglii?

– Obie są częścią Wielkiej Brytanii – wyjaśniła. – Być może wkrótce się to zmieni.

Zdumiony mężczyzna uniósł brwi. Wyobraziła sobie długi, prawdopodobnie nudny, wykład na temat konstytucyjnej struktury Zjednoczonego Królestwa, zwieńczony wynurzeniami na temat kwestii niepodległości Szkocji oraz istotnej różnicy pomiędzy Anglią i Wielką Brytanią.

– Tak czy owak – powiedziała – na pewno cię to nie interesuje.

Miała rację. Nie interesowało go.

– W Zanzibarze chcemy, żebyś odpoczęła. Ciesz się! Mamy wszystko, czego potrzebujesz. Mamy plażę, przyprawę, delfiny, owoce morza...

– Pycha – przyznała Kate.

– Mamy zółwie. Bardzo duże! – Tu zaczął niby to mozolnie brnąć na czworaka z wyrazem zadumy na ściągniętej twarzy. Kate roześmiała się, a on wyprostował się i złączył palce u rąk tak samo, jak przy rozmowie z tamtą parą wcześniej. – Jak długo tu będziesz?

– Cztery dni tu w Nungwi, potem Kendwa, safari w Tanzanii, a na koniec Stone Town.

Mężczyzna powoli kiwał głową, jakby notował w pamięci kolejne punkty jej planu podróży, po czym zapytał:

– Chcesz ponurkować? Z akwalungiem? Z rurką?

– Hm – odparła Kate – może. Nie myślałam o tym...

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę.

– Ja i mój brat mamy łódkę. Zabierzemy cię na morze. Rafa koralowa, delfiny. Piękny ocean. Dobra zabawa. Dobra cena.

Wzięła od niego wizytówkę. Obok imienia, którego nie mogła odczytać, wypisano ręcznie numer telefonu.

– Tu mieszkasz? W tym hotelu? – Wskazał na odgradzony murem od plaży kompleks budynków z basenem, leżakami i stołami do masażu.

– Tak – opowiedziała niepewnie.

– Znajdę cię. Jutro rano. Po południu? Pojedziemy nurkować z łódki. Bardzo dobra cena.

– Erm, muszę się zastanowić.

– Dobra – powiedział i spojrzał w stronę mężczyzny i kobiety przechodzących się po plaży. – Znajdę cię.

Kate wsunęła wizytówkę do torby i patrzyła, jak z otwartymi ramionami oddala się w kierunku tamtej pary.

– Witajcie! – przywitał ich. – Skąd jesteście?

Mąż potrząsnął głową i nawet nie zwolnił kroku. Żona wymamrotała: „Przykro mi, nie chcemy nurkować”. Mężczyzna nie tracił dalej czasu, rozejrzał się dookoła i namierzył kolejny cel kilka kroków dalej.

– Nie do wiary – wycodził mąż.

Kate rozejrzała się wzdłuż brzegu i wypatrzyła innego czarnoskórego mężczyznę – z dreadami i w koszulce Manchester United – przemierzającego się zdecydowanie w jej kierunku. Skręciła w bok, w stronę łądu, ale on też zmienił kurs i przeciął jej drogę. Wyciągając obwieszoną bransoletkami rękę, uśmiechnął się szeroko:

– Witaj, piękna pani. Jak dłużej tu będziesz?

Kate wydmuchnęła powietrze i powachlowała twarz kapeluszem. Cień markizy stanowił ukojenie dla jej rozgrzanej skóry. Sączyła sok z mango, palce u nóg zanurzyła w chłodnym piasku. Sześciu różnych facetów właśnie próbowało ją namówić na nurkowanie z łódki na milę od brzegu. Porozmawiała chwilę z pierwszą trójką, grzecznie przyjmując wizytówki i zapewniając, że da im znać. W rozmowie z czwartym skłamała, w którym hotelu się zatrzymała. Piątemu powiedziała, że wylatuje dzisiaj wieczorem. Dla szóstego nawet się nie zatrzymała. Zamiast tego odgoniła go ręką i postanowiła poszukać azylu w restauracji przy plaży. Stręczyciel wymamrotał coś do jej pleców, a ona oblała się rumieńcem z poczucia winy, jednak się nie ugięła.

Nazwanie tego miejsca „restauracją” było być może przesadą. Lokal składał się bowiem z trzech składanych stolików osłoniętych słomianymi parasolami, karty dań wypisanej kredą na tablicy, baru i dwóch stołków. Największą jego zaletą było to, że gdy tylko podchodzili tam plażowi stręczyciele, właściciel wrzeszczał coś do nich w suahili i ci markotnie się wycofywali. Właściciel skinął głową do Kate, a ona pokazała mu uniesione kciuki.

– Oni nawet nie są z Zanzibaru – mruknął. – Pochodzą z Tanzanii. Hieny.

– O – zdziwiła się Kate.

Wręczył jej menu i odszedł. W momencie, gdy spojrzała na wybór dań, uświadomiła sobie, że umiera z głodu. Menu zawierało przeróżne egzotyczne ryby, w tym kingfisha, tuńczyka i rekina, ośmiornicę, kałamarnicę, zioła, przyprawy, potrawy duszone i w sosie curry. Chciała zjeść je wszystkie. Kiedy właściciel podszedł do stolika, żeby przyjąć zamówienie, rozglądając się przy tym za stręczycielami, zapytała, jak świeże są dania w menu.

– Bardzo świeże – obruszył się. – Złowione dziś rano. Nie widziałaś *dhow*?

– No tak – przyznała. – Nie kupujecie ryb w sklepie?

Potrząsnął głową, zdumiony tak dziwnym, obcym pomysłem.

– Mamy tu ocean. Wyciągasz rękę i bierzesz!

– Oczywiście, że tak. – Spuściła głowę, zmieszana.

Zamówiła kingfisha w mleku kokosowym z ryżem i bananami. Właściciel uśmiechnął się, jak na dżentelmena przystało, po czym ostatni raz dziabnął długopisem w notes i oddalił się.

Kate, pozostawiona wreszcie w spokoju, mogła znowu cieszyć się plażą. Przed nią rozciągała się srebrna linia horyzontu, turkusowa woda, sennie urokliwe *dhow*, perłowe fale. Dopiero kiedy jej wzrok padł na stręczycieli przemierzających plażę w tę i z powrotem, szukając kolejnych ofiar wśród turystów, idylla została zakłócona. Mężczyźni co jakiś czas się spotykali, żeby ustalić strategię, omówić sukcesy i porażki, po czym ponownie się rozchodzili i wznawiali próby. Nie mogła pozwolić, żeby zepsuło jej to nastrój. W końcu to ona była tu intruzem. To ją odebrano z lotniska klimatyzowanym samochodem i przewieziono przez najbiedniejsze dzielnice, w których domy miały drzwi ze słomy i dachy pokryte tanią blachą, a po żuźlowych drogach dzieci tachały litry wody.

Właśnie na tyłach jednej z takich wiosek wznosił się wspinały ośrodek wczasowy Nungwi. Pięciogwiazdkowy kompleks hotelowy i wypoczynkowy roił się od zachodnich turystów, odgradzających tubylców od ich własnej plaży. Brama hotelu stała przed nią otworem, jakby jej się to należało od urodzenia, a Zanzibarczycy w uniformach kłaniali się jej na wejściu. Na chwilę spodobało jej się to królewskie traktowanie. O mało co nie skinęła dłonią w imperialnym geście.

*Fuck you*, światowa recesjo.

*Kingfish*, który się przed nią pojawił, okazał się najwspanialszą potrawą, jaką kiedykolwiek jadła. Soczysty i pikantny, mięciutki i pełen smaku, sprawiał, że odznaczeni gwiazdką Michelina szefowie kuchni z Oban – miejsca, które, jakby nie było, pretendowało do miana „szkockiej stolicy owoców morza” – wyglądali jak dzieci mieszające keczup z płatkami śniadaniowymi.

– Smakuje? – zapytał właściciel, podczas gdy na jej twarzy malował się wyraz coraz większej rozkoszy.

– Mmm – mruknęła w odpowiedzi. – Przepyszne.

– To dobrze. – Uśmiechnął się. – Przychodź codziennie. Będę ci gotował.

– Nie omieszkam – zgodziła się ochoczo i na chwilę się zawahała, a on niezręcznie zatrzymał się obok jej stolika. – Może się przysiądziesz? – zaproponowała w końcu.

– Dziękuję. Jesteś bardzo miła – powiedział, znów pochylając głowę. – Jestem Mustapha.

– Kate – przedstawiła się, a kiedy uścisnęli sobie dłonie, oblała się delikatnym rumieńcem pod wpływem jego spojrzenia.

Jak już usiadł przy stoliku, jego maniera stała się bardziej bezpośrednia, zupełnie jak gdyby wcześniej musiał w jej obecności ostrożnie dobierać słowa.

– Zawsze jestem ciekawy, skąd przyjeżdżają turyści, co robią na Zanzibarze. Uczę się tak o świecie. Opowiedz mi.

– Cóż – odparła, odchylając się do tyłu pod ciężarem jego spojrzenia. – Jestem ze Szkocji.

– Szkocja! – krzyknął, klaszcząc w dłonie. – To w Irlandii, tak?

– Nie, Szkocja jest częścią Wielkiej Brytanii, choć może wkrótce... nie będzie. – Westchnęła. – To skomplikowane.

– Sama tu przyjechałaś, Kate?

Otworzyła usta i zamknęła, niepewna jego intencji. Jednak jego twarz wydawała się szczerą, a w oczach nie dostrzegła sygnałów flirtu.

– Tak – przyznała. – Musiałam się wyrwać. W Wielkiej Brytanii sprawy nie mają się dobrze. Panują ponure nastroje. Zła polityka, zła ekonomia.

– Macie dyktatora?

– Ha! – zaśmiała się. – Niezupełnie. Ale prawie! Tak czy siak, właśnie zostałam bezrobotna.

Zmarszczył twarz.

– Zwolniono mnie. Straciłam pracę.

– Och – powiedział. – Przykro mi.

– Nie ja jedna. Rząd w Wielkiej Brytanii obcina stanowiska w sektorze publicznym. Więc postanowiłam po prostu, no wiesz, wybrać się gdzieś, dopóki mam jeszcze jakieś pieniądze. Być może już nigdy nie będzie mnie na to stać. – Wprawdzie jej słuchał, ale poczuła, że powinna zmienić ton na mniej prozaiczny, wykazać zainteresowanie jego kulturą. – Poza tym zawsze chciałam odwiedzić Zanzibar, wydawał mi się taki inny i egzotyczny, taki...



– To piękne miejsce. – Uśmiechnął się. – Mamy szczęście, że nas wybrałaś.  
– Uwierz mi – powiedziała. – Cała przyjemność po mojej stronie. Jednak teraz, jak już tu jestem...

– Tak?

– Czuję się trochę winna. Jakbym wkroczyła tu jak jakaś bogaczka z Zachodu, którą wcale nie jestem. Chodzi mi o to, że tu jest tak cudownie, a nie można się opędzić od turystów. Zawłaszczyli sobie to miejsce, zabrali je rdzennej ludności.

Założył na siebie ramiona i zaczął się jej przyglądać. Nie mogła jednak dociec, czy ją osądza, czy też jej współczuje, przez co poczuła się zakłopotana.

– To po co przyjechałaś?

Wzruszyła ramionami.

– W szkockim morzu nie da się popływać.

– No właśnie. Na Zanzibarze potrzebujemy turystów. Przywozicie pieniądze. – Potarł kciuk o palec wskazujący i na chwilę położył dłoń na jej nadgarstku, jakby o coś prosił.

– Tak – powiedziała, przełykając ślinę. – Ale kiedy patrzę na biedę w tych wszystkich wioskach, czuję, że...

– Na Zanzibarze nie ma biedy. Etiopia, Ghana, Sudan, Malawi – tam jest bieda. Nie na Zanzibarze. My mamy turystów. Jesteśmy wyspą. Mamy czystą wodę, owoce morza, pracę, hotele, przyprawy. Mamy handel.

„Mój Boże – pomyślała Kate – on myśli, że to jest życie na przyzwoitym poziomie”. Rozważała przedstawienie mu swojego zdania na temat nędznych domów, niszczących dróg, zwariowanego lotniska, gdzie zmuszona była zapłacić łapówkę, aby odzyskać bagaż. „W Europie nawet ludzie zarabiający najniższe stawki nie żyją w takich warunkach”. Zastanawiała się jednak, czy go tym nie urazi i ostatecznie ugryzła się w język.

– Oczywiście – powiedziała tylko. – Przepraszam.

– Kate, dlaczego przyjechałaś sama?

Poderwała na niego wzrok i zobaczyła, że przekrzywił głowę i wpatruje się w nią z ciekawością. Najwidoczniej promieniowała samotnością.

– No bo ja... – powiedziała ku swojemu własnemu zaskoczeniu, a właściwie wybełkotała, bawiąc się przy tym papierową podkładką – Nie wiem, dokąd zmierza moje życie. Wszystko wydaje się takie niepewne. Takie... niestabil-

ne. Wielka Brytania staje się okropnym miejscem. Całe nasze samolubstwo, nasza chciwość, zaczynają obracać się przeciwko nam.

Kiwał głową pochylony do przodu nad stołem.

– Nie wiem, w którym momencie pieniądze stały się najważniejsze. Ale, mój Boże, Mustapha, sytuacja w kraju wydaje się taka beznadziejna. Wszyscy mają depresję. Wszyscy mają w środku pustkę. – Wskazała ręką morze, kołyszące się *dhow*, połyskujące fale, niczym niezakłócony spokój. – Tymczasem tutaj...

Mustapha zamyślił się nad jej słowami.

– Rozumiem.

– Podejrzewam, że macie tu swoje problemy, większe od naszych.

Uniósł brwi i wziął głęboki oddech.

– W 1964 na Zanzibarze była rewolucja – powiedział. – Obaliliśmy brytyjskie i arabskie rządy. Dużo przemocy. Dwanaście tysięcy zabitych.

– Mój Boże.

Wzruszył ramionami w smutnym geście, który więcej sugerował, niż mówił wprost.

– Teraz rządzi syn pierwszego prezydenta niepodległego Zanzibaru. Wybory nie są wolne. Policja brutalna. Wszędzie korupcja. Nie zatrzymali cię w drodze z lotniska?

– Tak – odpowiedziała Kate i przypomniała sobie, jak kierowca zwolnił przed punktem kontrolnym, a policjanci zajrzeli do samochodu. Rozmowa potoczyła się w suahili i policjant dokładnie ją zlustrował, zanim pozwolono im ruszyć dalej.

– Turystom nic nie robią, bo turyści przywożą pieniądze, ale my, Zanzibarczy, musimy płacić. Tylko po to są te kontrole. Nie płacisz, to cię aresztują.

Z oddali dochodził łoskot fal. Mustapha wpatrywał się w blat stolika, jego głos stawał się warczący.

– Po wyborach w 2000 roku były demonstracje. Policja zabiła dwudziestu sześciu demonstrantów. Odtąd nikt nie protestuje.

Przeniósł na nią spojrzenie – jego twarz pozostała nieruchoma, niemalże rzucała Kate wyzwanie.

– To straszne – powiedziała cicho. – Nie miałam pojęcia.

Odwrócił głowę i zapatrzył się na morze. Wydawało się, że zniknął gdzieś w środku siebie.

– Ale jak byłem mały? Codziennie zabawa na plaży. Codziennie pływanie w morzu. Łowienie ryb. Śmiechy. Pływanie na *dhow*.

Zamilknął. Wyciągnęła rękę i objęła jego dłoń. Ścisnęła ją swoją. Spojrzał na nią i spróbował się uśmiechnąć, lecz zaraz potem wydmuchnął powietrze i cofnął dłoń.

Sięgnął do kieszeni.

– To mi o czymś przypomina.

– O czym?

Mustapha rozwinął kawałek papieru i rozłożył go na stoliku. Zdjęcia *dhow* na tle intensywnie pomarańczowego zachodu słońca obok zdjęć niebieskich i żółtych ryb, różowej i fiołkowej rafy koralowej. Postukał palcem w ulotkę i obdarzył Kate szerokim uśmiechem.

– Mój kuzyn robi wycieczki na nurkowanie. Dobra cena. Chcesz pojechać?

*Najwyraźniej* Karen Campbell jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Apparently* by Karen Campbell is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Karen Campbell

# Najwyraźniej

przełożyła Joanna Morawska

Stoisz w ogrodzie i płaczesz.

Dziś rano patrzyłaś, jak twoja babcia zgarnia resztki śniadania z talerzy do plastikowego pojemnika firmy Tupperware. „Lena może zjeść to na lunch”. Twarde skórki od bekonu wrzucone na resztki żółtka, w którym twój ojciec maczał swój tost. Brudny nóż, z jednego z talerzy, skrobie po nich, aż są praktycznie czyste. Jedzenie odpowiednie dla kota. Lena jest ich służącą. To jedna z kobiet, które twoja babcia potajemnie uczyła angielskiego. Wszystko zorganizował Kościół anglikański. Mówili o tym w wiadomościach na BBC, jeszcze zanim tu dotarłaś – w Aleksandrii wybuchły zamieszki, bo kazano im się uczyć po afrykanersku. Zawsze nadstawiasz uszu, kiedy ktoś wspomina o Afryce Południowej. Masz tam rodzinę. I powiedziałaś o tym wszystkim w szkole; o tym, jak dom babci został otoczony przez tajną policję, jak wepchnęli ją i jej przyjaciół do furgonetki i przesłuchiwali w centrum miasta. Twoja babcia jest białą kobietą. Dostała pokój z krzesłem.

Buntownicza babcia, która skrobie talerze i słucha, jak jej sąsiedzi opowiadają dowcipy o Kaffirach, podczas gdy Lena krząta się wokół nich, a jej nieśmiała, smętna twarz jaśnieje od potu. Nie tak to sobie wyobrażałaś. Och, słońce jest ogromne i brutalnie grzeje, sucha, drobna trawa i kukurydza z grilla uświadamiają ci, że nie jesteś u siebie i wszystko jest przestarzałe. Melaminowe fasady sklepów przyozdobione są radosnymi literami w stylu lat sześćdziesiątych, wszyscy mężczyźni zbierają się w jednym pokoju na papierosa, a kobiety noszą makijaż i szpilki. Te masywne, plastikowe, dopasowane do przesadzonej biżuterii. Białe kobiety, znaczy się. Jedyna czarna

kobieta, którą widziałas z bliska, to Lena, ubrana w niebieski nylon, bładny fartuch, w którym promienieje.

Twoja buntownicza babcia też nie jest jedną z tych kobiet. Ona odziana jest w kolory wrzosu i mchu i płaściuteńkie czółenka, które podkreślają jej drobną posturę; wątła szyja z trudem podtrzymuje głowę z bujną trwałą, mocną szczęką i afrykańskimi kolczykami w uszach. W jej lokach widnieje domieszka fioleto. Uwielbiasz fiolet, to twój ulubiony kolor. Patrzysz, jak nakłada pokrywkę na pojemnik i mówi Lenie, żeby go wzięła. Słyszysz, jak mówi do niej „dziewczyno”.

„A teraz umyj podłogę, dziewczyno. Ten dom trzeba wysprzątać”.

Jej głos rozluźnia się i staje gardłowy, przebija się przez niego akcent jej dawnych lat. Dziś jest ostatni dzień roku 1983, cały dom huczy od zamieszania i pośpiechu. W domu byłby *Hogmanay* i słyszysz, jak twoja mama uczy sąsiadkę prawidłowej wymowy. Uśmiechasz się, bo ta kobieta sama wygląda jak świnia. Jest duża i blond, a jej twarz pokrywają brązowe plamy starcze. Pochodzi z Huddersfield, ale przybyła tu dwadzieścia lat temu „na bilecie za dziesięć funtów i nigdy nie oglądała się za siebie, prawda Jean?”.

Twoja babcia wymijająco wykrztusza „nie, nigdy” i dalej kroi rzepę. A może i dynię. Warzywo ma ten sam kolor co sąsiadka. Bardziej włóknisty.

„Żyje się teraz dużo lepiej, co nie? To znaczy, u nas nie byłoby nas stać na taki dom. Żadnych służących, no nie? Ale nie można ufać Kaffirom, kochana”.

Kiedy to mówi, klepie twoją mamę po dłoni.

„Dopóki wiesz, że te dziewczyny cię okradną, kiedy będą miały choćby cień szansy, to sobie poradzisz. Co nie, Jean?”

„O co chodzi?” – pyta twoja babcia. Nawet teraz widzisz, że kontemplanie błękit nieba na zewnątrz. Jest artystką. Jej barwne obrazy zdobiją ściany w całym domu. Decydujesz, że kiedy pojedziesz do rezerwatu w przyszłym tygodniu, to weźmiesz ze sobą pastele. Narysujesz jedną z tych chat pokrytych strzechą, które babcia pokazała ci w folderze Kruger Safari i naszkicujesz Lenę siedzącą na zewnątrz. To twoje pierwsze Boże Narodzenie za granicą i jak na razie jest bardzo dziwnie. Na obiad indyk, którego jecie nad basenem, poznawanie kuzynów i ciotek, których widzisz pierwszy raz w życiu. Obserwowanie zmarszczek na twarzy taty, kiedy wujek i babcia rozmawiają o jej zeszłorocznej podróży do Durbanu. Twój wujek mieszka w Durbanie.

Opowiedział ci wszystko o sieciach na rekiny, i jak bezpiecznie jest tam pływać. Sieci są zakładane na białych plażach, sporadycznie na azjatyckich, nigdy dla czarnych. Usta taty są starsze niż jego brata, ale kształt mają ten sam. Nigdy wcześniej nie widziałeś twarzy, która by pasowała do twarzy twojego taty. Myślisz, że zaraz się uśmiechnie, ale nie jesteś pewna.

Niczego nie jesteś pewna.

Kobieta-świnia urzęduje dzisiaj przyjęcie i wszyscy jesteście zaproszeni. Dlatego tu jest, ona i jej niebiesko-blond syn. Chłopak jest mniej więcej w twoim wieku, ale ubrany jest w starannie wyprasowane szorty i niebieską kraciatą koszulę. Jest okazem zdrowia i dostatku. Masz ochotę rzygnąć, jak na niego patrzysz. Czujesz, jak przysuwa się do mamy, kiedy podchodzisz i siadasz na kanapie. Rzęsy blade jak kurz, mrużają na ciebie. Twoje są oblepione tuszem, obrysowane bryłkowatym czarnym węgielkiem, co współgra z włosami napuszonymi od słońca. Mama schowała ci karbownicę (w swojej walizce, pod łóżkiem, już dwa razy jej użyłaś, ale tyle było pływania, że pewnie nie zauważyła).

Pływanie i dąsanie się. Tylko do tego się nadajesz.

„Dziewuszka nie wolałaby przypadkiem wyjść z młodzieżą, co?”

Sąsiadka uśmiecha się do twojej mamy, potem do ciebie. Chłopak się wzdyga. Jesteś świadkiem, jak widocznie kurczy się w sobie, zwija się w potrzebie zniknięcia. Przywodzi ci na myśl loda na patyku Mini Milk, który topi się i cieknie na środku, tam gdzie go polizowałaś. Zawsze zaczynasz od środka, tworzysz cienki pasek, a potem chrupiesz grube końce. Jeśli chodzi o chipsy, przed otwarciem trzeba zgnieść torebkę, tak że okruszki wysypują się na twoją wklęsłą dłoń, a Kit Katy, cóż, oczywiście nacinasz folię paznokciem, rozrywasz na dwa srebrne paski, zrywasz opakowanie i ssiesz, aż natrafisz na wafłowe wnętrze. Oczywiście.

„Nasz Pete wybiera się na imprezę ze swoją dziewczyną. Może pójdziesz z nim? Co, Pete? Co?”

Pete krzywi się, jakby zjadł cytrynę, bezgłośnie bije się z myślami, szukając ewidentnych argumentów, dlaczego to nie jest dobry pomysł. I ty się z nim zgadzasz, w stu procentach. Wolisz przywitać Nowy Rok z ludźmi, z którymi łączą cię więzy krwi, nie ten sam wiek.

„Och, byłoby cudnie, prawda?”

Kochana mama, z jej spiętym, szerokim uśmiechem, wyrażającym delikatne upomnienie. Chce pozbyć się twojej ponurej twarzy, desperacko pragnie, żebyś bawiła się jak „normalne dzieciaki. Bo to nie jest normalne, prawda?”. Co?” Nosić martensy i czarną, skórzaną kurtkę w afrykańskiej spiekocie? Lena chodzi w podomce, a na to ma sweter. Wielki, rozciągnięty, kudłaty sweter i nikt nie wybałusza na nią oczu.

To rzecz, którą tu zauważyłaś. Jest tak wyraźna, że aż straszna. Straszna jak żony ze Stepford, gładko i stale unikające tematu. Biali ludzie posiadają umiejętność całkowitej ignorancji. I nie jest to odsunięcie się ze spuszczonej oczami, jak w Glasgow, kiedy gość udaje, że nie widzi wyciągniętej ręki menela. Nie, to beznamiętny brak akceptacji, że istnieje życie poza beżowym kolorem skóry. Odgrywany stale i z precyzją, żebyś wiedziała, że to nie wyłącznie twoja wyobraźnia. Widziałaś to w monopolowym z drzwiami z napisem „Wejście”, „Wyjście” i „Czarni”. Nieważne, ilu czarnych stoi w kolejce, znikają, kiedy pojawia się biały. Nieraz widziałaś, jak ustępują drogi białym, schodząc z chodnika dyskretnym, niby wyćwiczonym w tańcu krokiem. I widziałaś, jak twój dziadek sypie drobne na rękę parkingowego. Twój pulchny, wesoły dziadziuś, którego przyśpiewki i rubaszne dowcipy z zaśpiewem z Kentu sprawiały, że ze smakiem oblizywałeś usta. Tak, on. Łysiejący misiek, którego dopiero co poznałaś i to, jak sypnął drobnymi niczym do wiadra. Ruch był automatyczny, oczy utkwione w próżnię, myśli gdzieś indziej. Nawet kiedy parkingowy mówi: „Dziękuję, szefie”, twój dziadek go nie widzi. Odjeżdża szybko i gładko jak wąż, kiedy mężczyzna opuszcza dłoń.

Babcia powiedziała, że sąsiedzi serwują haggis na przyjęciu, żeby uhonorować swych gości ze Szkocji. Dała im przepis, ale obawia się, że nie dostaną tu odpowiednio rozdrobnionego owsa. Będzie to zaledwie połączenie podrobów i mąki owsianej, co jest bardzo miłe. To kolejna dziwna rzecz. Pani Świnia jest bardzo miła, tak bardzo się stara, żeby was dobrze ugościć. Jest bardzo dumna ze swojej przybranej ojczyzny, prawie tak dumna jak sąsiadka z naprzeciwka, pani Van der Sandt, która nalega, żebyś zobaczyła Voortekker w przyszłym tygodniu. „Tylko jeśli zaciągniesz mnie tam siłą”, mówisz później matce. Już zdążyłaś pokłócić się o moralność pomnika ze swoim wujkiem Pikiem, który wżenił się i bardzo by chciał nowego Rottweilera.



„Dzieciak jak ti ni zrozumiał”, powiedział, układając sobie jądra. Bardzo subtelnie, przez kieszenie szortów.

Wujek Pik będzie dziś wieczorem. Obiecał, że przyniesie swoją tubę. Patrysz na mamę, która wciąż uśmiecha się jak wariatka, na panią Świnie, która wydłubuje z zębów okruszek. Blady, piękny Pete wydaje się być zachwyconym swoimi stopami i tak bardzo chcesz go przestraszyć.

– Tak – mówisz. – Byłoby cudnie.

Idziesz do ogrodu i spędzasz resztę dnia czytając, unikasz jakichkolwiek porządków. To głupie, i tak nikogo nie będzie dziś w domu, ale mówienie tego babci nic nie da. Bierzesz łyk wody i powoli otwierasz książkę. Egzaminę już niedługo, a ty nie doszłaś jeszcze do końca *Sunset Song*. Za bardzo kochasz tę podróż, chcesz zachować ją niekompletną i bezpieczną. Później, znacznie później, zdasz sobie sprawę, że po raz pierwszy książka wzruszyła cię tak głęboko: język, fabuła, jej głębszy sens. Fakt, że jest tak mocno i wyraźnie szkocka. Nie wiedziałaś, że pisarze tak potrafią, że za pomocą słów wolno ci malować zarówno rytm i tempo, jak i historie, i że nie jest to wymuszone. To jest prawdziwe.

Kiedy kończysz czytać, siedzisz w ogrodzie babci. Woda chlupie o filtr basenu, bzzczą egzotyczne owady, pali gorejące, rozmyte słońce, wysuszając łyzy na twoich policzkach. Wzdrygasz się znów i znów, dopóki twój oddech się nie wyrówna. Opłakujesz tę dziewczynę, która była w twoim wieku, miała takie same marzenia jak ty. Miała także szansę, której możesz nigdy nie mieć. Opłakujesz tę elegię i nagły podmuch wiatru, który cię owiewa, niosąc zapach zimnej, wilgotnej ziemi. Lena widzi, jak płaczesz i rzuca ci niezręczny uśmiech, ostrożna, by nie pokazać zębów. Później zajmuje się koszami. Babcia mówi, że Lena ma dzieci, ale mieszka tu sama, w tyciej szopie za bungalowem, tej, którą nazywają basenowym domkiem. Zapytałaś ją wczoraj, gdzie są jej dzieci. „Ojczyzna”, szepnęła. Denerwuje się, kiedy do niej mówisz.

Szybki prysznic i czas na IMPREE-EEZE! Masz dom dla siebie, wszyscy już zadekowali się u sąsiadów, przerażeni, w razie gdyby haggis się rozleciał. Cóż, tak się zdarza, jeśli się go wcześniej nie zwiąże. Gdybyś miała ze sobą swoją muzykę, puściłabyś ją głośno, ale diabli wiedzą, jakie tu jest radio. Telewizja jest wystarczająco zła. Załedwie kilka kanałów dla anglojęzycz-

nych, a jedyne, co można na nich znaleźć, to *Star Trek*. Matka położyła ci letnią sukienkę na łóżku. To ta, którą kupiła w Johannesburgu, turkusowa, marszczona, z przekłętymi słoniami tańczącymi na brzegach. „No dobra”, myślisz, sięgając po swoją starą, dobrą czerń. Ta też jest sukienką, fałdzistą z frędzlami i afgańskimi ozdobami na gorsecie. Podejrzewasz, że mogła być zrobiona z dywanu. Wykradasz swoją karbownicę, spryskujesz włosy lakierem i delektujesz się syczącym odgłosem, kiedy tworzą się węzowe sploty. Setki pofalowanych czarnych wężyków, kąsających na prawo i lewo. Czuć woń spalonych włosów i lakieru, tapirujesz włosy, żeby trochę je napuszyć. (Nie było jeszcze prostownic, ale, och, ile zabawy będziesz miała robiąc te gładkie, pozerskie strąki). Na wypadek gdyby przekaz nie był jasny, polewasz się paczulą. Szybkie zerknięcie w lustro – przelotne zerknięcie, bo wystrzegasz się wszelkiej formy samozachwytu. To nie w stylu indywidualisty. Delikatne muśnięcie eyelinera sprawia, że upodabniasz się do Siouxsie Sioux.

No.

To jesteś.

Punkowa, piźmowa młoda dama. Gotycka. Podnosisz swoje nietoperze ramiona. Cudownie.

Mleczny Pete czeka na dole. Stoi ze swoją dziewczyną, kolejną blondyną. Ma na imię Samantha i ubrana jest w sukienkę czerwoną jak ogień. W stylu lat pięćdziesiątych, z rozkloszowanym, szerokim dołem. To spódniczka, w której chcesz się obracać, aż się pochorujesz. Uśmiecha się, pokazując odpowiednio lśniące zęby i kształtne pasma bieli, które biegną równolegle:

Pasma bieli w ustach: jest.

Linia bieli wokół tali: jest.

Blask bieli na stopach: jest.

Pete ma białe skarpetki i tym razem jego koszula jest w kolorze cieniowanej czerwieni. Dziś jest wystarczająco duży na długie spodnie i by wyciągnąć dłoń.

– Ładni wglądasz.

Zaskoczona, ściskasz mu palce i idziesz za nim do samochodu. Samantha obejmuje cię ramieniem i rozvodzi się nad twoimi włosami. Pytają cię o Szkocję. Mówisz im o fikcyjnej posiadłości Kinraddie w Mearns, o rozległych parkach i skromnym, uczciwym życiu, i jak zagony układają się faliście pod

wysokim niebem, i jak łąd unosi się, by zakorzeń ciężkie stojące kamienie. Mają tysiące lat, mówisz. Prawdopodobnie setki tysięcy.

„Brzmi pjinknie”.

I tak jest, twoim zdaniem. Wiesz, że tak jest. I jesteś szalenie dumna.

Kiedy docieracie na imprezę, jest już po jedenastej. Odbywa się w olbrzymim, białym domu, ze światłami wylewającymi się z każdego pokoju na suchą, szorstką trawę, gdzie znajduje się pusta pergola. Gdyby to była Szkocja, wszyscy byliby na zewnątrz, rozkoszując się brakiem deszczu i wymiotując do basenu. Pete prowadzi cię do środka i nagle stajesz się nieśmiała. Także samotna, to uczucie unosi się jak duszący upał i uderza cię w twarz. Mrowiące policzki, ciało zdecydowanie zbyt zgrzane w zadziornej sukience z namiotu. Twoje czarne, klaunie stopy wyglądają na ogromne w otoczeniu smyrgających wszędzie delikatnych sandałków. Ludzie się gapią. W Glasgow też się to zdarza, gapiące się cielęta, ale to są t o j e cielęta, łączy cię z nimi dożywotnia dieta oparta na Irn Bru i lekturze „Sunday Post”, i kiedy gonią cię z butelkami i mało entuzjastycznymi okrzykami „E, obczajcie jebaną potworę”, nie jest tak źle. Dziewczyny przefruwają jak jasne, skrzeczące ptaki; mięśniaki bez szyj trzymają butelki za szyjki i obserwują cię małymi, posępnymi oczkami.

Na początku nikt nie podchodzi do trio skulonego w kącie. Później jacyś znajomi Pete’a podchodzą, przynoszą ci drinki, jeden prosi do tańca. Akurat leci znany ci kawałek – Simple Minds. Prawda, nie znosisz ich, wolałabyś umrzeć niż zatańczyć do tych sprzedawczyków w swoim klubie w mieście (kiedyś nazywali się Johnny and the Self-Abuses, na litość boską). Ale oni tu są, tak samo jak ty, i oboje jesteście z cholernego Glasgow! Wczuwasz się w wirujące dźwięki muzyki, dziko wymachując rękoma. Wtedy podchodzi Pete i chwyta cię za ramię. Zostajesz wypchnięta na zewnątrz, Samantha pędzi za wami z jedzeniem, które przyniosłaś. Starsza kobieta krzyczy do ciebie:

„I ni wracaj! Ni chcemi tu takich jik ti”.

– Takich jak ja? – mówisz. Powtarza swój zapętlony refren, a każde słowo zostawia ślad w twoim sercu.

„Chodźmi. Wszistko w porządku” – mówi Pete, otwierając drzwi od samochodu.

– Ale co ja złego zrobiłam?

„Miśli, że birzesz narkotiki. Głupia krowa. To twija pacziula, to wszystko. Ale ni chciała słuchać”.

Za dziesięć dwunasta, a wy mkniecie wzdłuż autostrady.

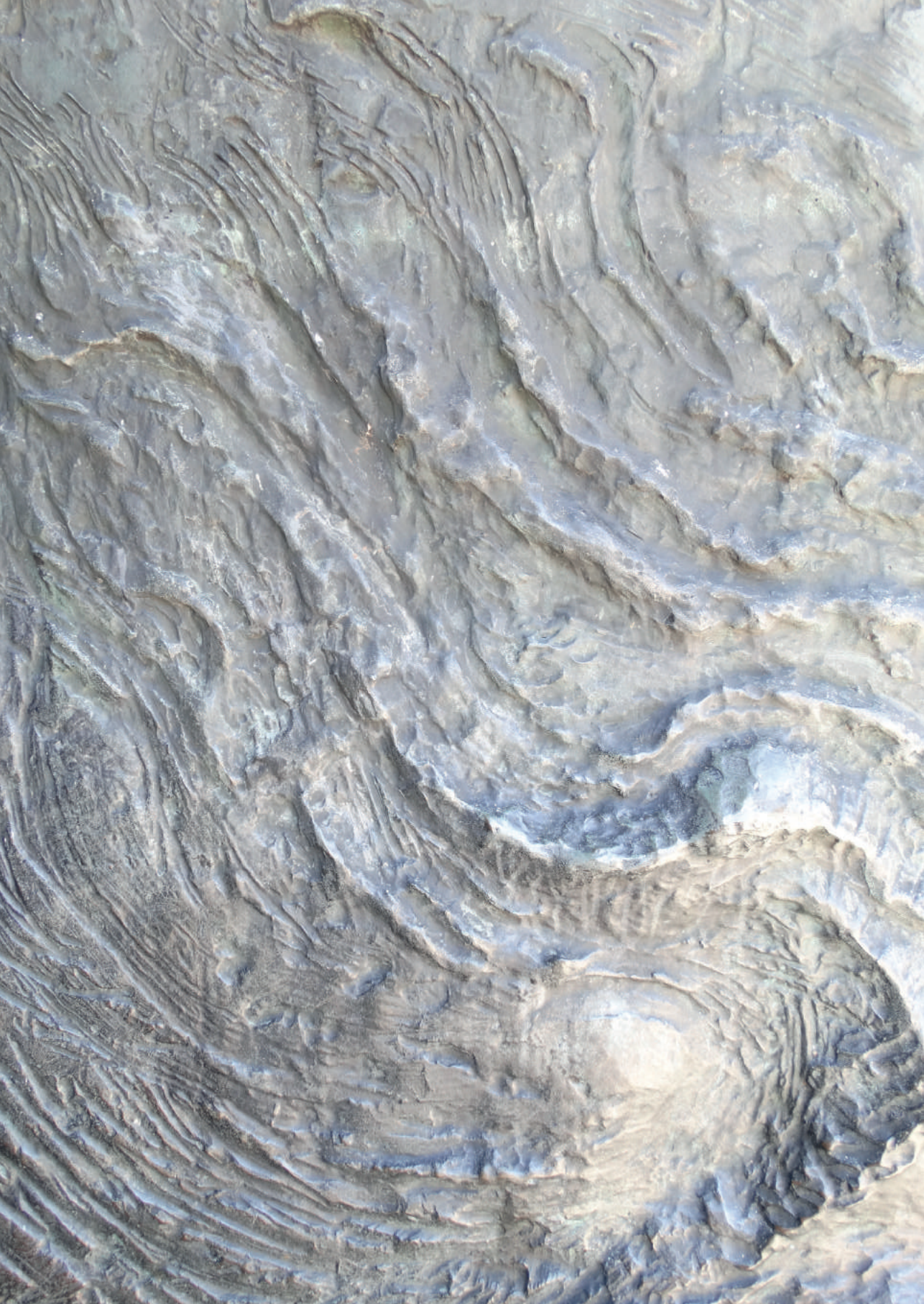
„Ni możemy mieć Higminay w aucie, co ni?”

Nic cię to nie obchodzi. Czujesz się zwiędła i chora i chcesz do mamy. Jest jeszcze jedna impreza, na którą możecie pojechać, ale prosisz, żeby wysadzili cię u babci. Minuta do północy, poradzisz sobie, mówisz, oczywiście, że pójdziesz do sąsiadów. Ale nie idziesz.

Za domem woda pluska w basenie, bezsenny filtr wychłupuje swój rytm. Czujesz się gorzej niż naga i nie możesz wrócić do tamtego uczucia, uczucia pewności i komfortu w swojej skorupie. Patrzysz na milion wiatraczkowych gwiazd. Inność zawsze była twoim znakiem STOP, zapobiega byciu skrzywdzoną. Daje ci miejsce, do którego należysz. Miedziane światło jaśniej na niebie. Niebo płonie, nad Aleksandrią rozciąga się pełna napięcia mgła. Na okratowaniu za tobą sączy się zapach bugenwilli, niosący odległą, cierpką ostrość. Wzdłuż Transwalu widzisz jaskrawy snop fajerwerków, wybijający godzinę duchów. Co jeśli twoja inność to nie twój wybór? Co jeśli zostałaś napiętnowana innością w momencie urodzenia i to ona mówi ci: STOP?

Boleśnie, gorąco, aż zapiera dech. Powietrze tężeje w płucach, w twoich spiętych, obolałych płucach i oczach. Chwytasz za sukienkę. Szarpiesz, aż jesteś wolna, i łapiasz ją za gardło. Ciskasz ją do basenu, gdzie rozkwita we wdowią szatę, poruszając się bez ciebie na powierzchni wody. Noc liże twoją skórę, jak pocałunek Ewana Tavendale'a palił Chris w *Sunset Song*. Palił ciebie. Dziś rano słyszałaś, jak twoja babcia mówi Lenie, że nie może jej dłużej uczyć angielskiego.

Stoisz w ogrodzie i płaczesz. W basenowym domku przesuwiają się zasłonki i świat wita kolejny rok.



*Po drinku możesz przewrócić świat do góry nogami* Rodge'a Glassa jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*After Drink You Can Turn Earth Up Side Down* by Rodge Glass is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Rodge Glass

# Po drinku możesz przewrócić świat do góry nogami

przełożyła Katarzyna Kaszorek

W tym klubie położonym w centrum Hong Kongu nie zdążysz wypić połowy drinka, a kelnerki już proponują ci nowego. Wszystkie wyglądają na osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Wszystkie wyglądają dobrze. Mają na sobie spódniczki przed kolano w szkocką kratę, poluzowane krawaty i lekko rozpięte białe koszule, jakby ktoś zaczął je rozbierać i nagle się rozmyślił. Noszone przez nie plakietki głoszą: „WAN CHAI AMAZON: ZUPEŁNIE NOWA PRZYGODA!”. Gdy śmigają między stolikami, cztery, może pięć z nich, gestykulując do klientów („Jeszcze jedno piwo czy nie?”), myślę sobie: prawdopodobnie jesteśmy tutaj najmłodszymi facetami. Zaraz nachodzi mnie inna myśl: Angie przedstawiła to wszystko w dość dziwny sposób. „Nasze dziecko przyszło na świat. Przyjeźdź i zobacz”. Jakby pytała, co sądzę o jej nowej sukience. Jakbym czekał na tę nowinę i rozumiał sytuację. Jakby podróż do Anglii w obie strony nie wynosiła dwadzieścia tysięcy mil.

Gdy patrzę w dół, orientuję się, że moja torba wystaje spod krzesła, a kupiona na targu zabawkowa panda i znak drogowy leżą na podłodze. Nie schylam się. Jednym żwawym kopniakiem wpycham je z powrotem, podczas gdy pozostała zawartość torby zostaje pod stolikiem obok. Krzyczę Nickowi do ucha:

– Sporo tutaj ludzi z Zachodu.

Nick nie odpowiada od razu. Obserwuje parkiet, gdzie kilku pierwszych odważnych imprezowiczów testuje swoje taneczne ruchy do *Cocaine* Erica Claptona. Trzy pary dobrze się bawią. Jedna w szczególności. Młoda miejscowa dziewczyna kołysze się powoli w rytm granej przez zespół muzyki z białym facetem w garniturze od Armaniego. Ten ma chyba z sześćdziesiąt lat albo i więcej. Dziewczyna śmieje się z czegoś, co powiedział, kładzie mu dłoń na klatce piersiowej i sunie nią w dół wzdłuż guzików – jeden, drugi, trzeci – aż jej wysmukłe palce lądują na jego brzuchu zaraz nad paskiem. Nigdzie się nie spieszy. Głaszcze go paznokciami tak lekko, powoli i delikatnie. Facet uśmiecha się szeroko. Życie jest takie zajebiste, co nie? Gdy zauważa, że na niego patrzę, mruga do mnie, jakbym był następny w kolejce czy coś. Pokazuje mi środkowy palec, ale nawet nie jest zaskoczony. W odpowiedzi oblizuje wargi i szybko obraca dziewczyną w koło. Nick w końcu odrywa od nich wzrok. Bierze z miski więcej orzeszków ziemnych, rzuca łupiny i resztki na podłogę, po czym odwraca się do mnie.

– Taa... – mówi, poprawiając czapkę z daszkiem. – I co z tego?

Nie pamiętam, o co go pytałem i czy w ogóle zadałem mu jakieś pytanie.

– No nic – odpowiadam cicho. Gdy pochylam się, żeby mnie usłyszał, moja dłoń ląduje na jego ramieniu. – Miałeś rację. Z a j e b i s t y zespół tu gra. Naprawdę. Po prostu z a j e b i s t y.

Przez ostatnie dni kłamię bez zastanowienia. Mówię bez zdawania sobie z tego sprawy. Czasami nie wiem, gdzie jestem. Budzę się w środku nocy w pokoju hotelowym, chwiejnym krokiem idę do toalety i wydaje mi się, że już jestem na miejscu – w nowym, słonecznym domu z Angie śpiącą obok i z dzieckiem w łóżeczku postawionym przy naszym łóżku. Angie kręci się i mówi: „Kochanie, wracaj do łóżka”.

Kiedyś tak mówiła.

Tu i teraz zagaduję Nicka:

– To miejsce jest niesamowite.

I brzmi to tak, jakbym naprawdę tak uważał.

Po kilku piosenkach zerkam ukradkiem na wynik. Bez zmian. Odwracam się. Pewnie niegrzecznie jest sprawdzać wynik meczu piłkarskiego, gdy ludzie wydzierają się do *Wish you were here*, jakby sami ją napisali i naprawdę



próbowali nam coś powiedzieć. Ale przecież to jest zwykły *cover*. W końcu siedzimy w jakimś gównianym barze obok lokalu ze striptizem. Jest kwiecień, wtorek w nocy. Poza tym wygląda na to, że wszyscy sprawdzają wyniki. Przed ostatnim refrenem przyłapuję klawiszowca, który wygląda jak Indianin czy ktoś taki, jak wyciąga szyję z tyłu sceny, próbując coś dojrzeć. Nic z tego: przysadzisty basista w stylu zen ustawił mu się na drodze. Jeden z dwóch gitarzystów stoi po jego lewej stronie – kolana ma zgięte, brodę uniesioną wysoko – i riffuje przed drugim ekranem. Perkusista o wyglądzie klasycznego rockmana – z kucykiem, pofarbowanymi na czarno włosami, by ukryć siwiznę, tatuażami z czachami i spłowiałą koszulką Black Sabbath – upchany jest z tyłu, a jego talerze są trochę zbyt blisko i zasłaniają najmniejszy ekran. Ten przy wyjściu. Lub toalecie. Lub przy jednym i drugim. Nigdzie nic nie jest oznaczone. Na przedzie wokalista i drugi gitarzysta balansują na krawędzi sceny – w swoich umysłach widzą inny tłum. Pierwszy śpiewa partie główne, drugi robi wspierające. Obaj mają zamknięte oczy. Śpiewają: *Oh, how I wish you were here* i kucają dla większego efektu. Potem wstają. Otwierają oczy. Liczą się tylko oni śpiewający unisono. Ten wybuch emocji jest nagły, niespodziewany.

Gdy tak rozmyślam o dołączeniu do nich na scenie, o zanurkowaniu i rozciąganiu się w tej harmonii, pozwalając dźwiękom, żeby zawładnęły i mną, pojawia się spódniczka w kratkę, zabiera dwie puste butelki i rozgląda się w poszukiwaniu następnych. Nie czekam na ruch ręki. Przywołuję ją do stolika, oddaję nasze dwie puste butelki i wskazuję na dwie kolejne, ledwie upite. Uśmiecha się zawadiacko, jakbym zrobił coś dowcipnego czy ciekawego, i myślę sobie: mógłbym do tego przywyknąć. Tymczasem Nick jest w innym świecie. Przyłączył się do śpiewania, a jego ciało pochłonęły dźwięki. Buja się na stołku, wraz z zespołem reaguje na uderzenia i zmiany akordów, bębni palcami na kolanach. Pod koszulką, co prawda nieco za małą, ale sądzę, że wybrał ją właśnie z tego powodu, widać, jak jego wyrzeźbione na siłowni mięśnie napinają się. Zastanawiam się, czy Nick jest wstawiony. Poznałem go trzy godziny temu. Skąd do cholery mogę wiedzieć, jak zachowuje się wstawiony Nick? Albo trzeźwy? Albo smutny? Mijają chyba całe wieki, zanim *Wish You Were Here* nareszcie się kończy, szmer okłasków i okrzyków powoli cichnie, a on kontynuuje rozmowę. Jakbyśmy jej nigdy nie przerwali. Jakby w tym miejscu czas w ogóle nie płynął bez jego pozwolenia.

– Chłopaki grają tutaj co noc – mówi. – Od dwudziestej drugiej do szóstej trzydzieści rano. Dają trzy pełne koncerty. Dasz wiarę? Człowieku, znają coś około s z e ś c i u s e t piosenek. Wystarczy, że podasz tytuł. Podasz, kurwa, tytuł. A oni będą go znać. Stonesi. Beatlesi. C o k o l w i e k.

Starając się zachować powagę, pytam:

– Znają jakieś afrykańskie rytmy? Lubię afrykańską muzykę.

Nick przybliży się, sprawdza, czy robię sobie z niego jaja, po czym odsuwa się.

– Możliwe – odpowiada w końcu. – Co jest? Nie lubisz Rolling Stonesów? Jeszcze nie zapłaciliśmy za piwo. Postanawiam być miły.

– Grają każdej nocy? – pytam. – Łał.

Nick przytakuje zdecydowanie. Rozluźnia się. Uśmiecha.

– Taa. Mają wolne dwa razy w miesiącu.

– Silne z nich chłopaki. I pewnie mają mocne nadgarstki! – Śmieję się nieprzyzwoicie. Daję mu chwilę na rozgryzienie żartu.

Mija kilka sekund, zanim biorę porządny łyk piwa, które, bez jaj, nazywa się Hong Kong Beer. Na etykiecie nie ma nawet żadnej chińskiej postaci. Myślę sobie w duchu: to miejsce jest pojebane! Zaraz nachodzą mnie myśli, jak daleko jestem od Australii i jak długo będę tam leciał. Następnie ile będzie trwała podróż z lotniska do miasta. Z miasta do domu Angie. Od drzwi wejściowych do pokoju na tyłach domu, gdzie być może śpi teraz mój synek. Próbuję wyobrazić sobie jego nosek. Uszka. Zapach. Zastanawiam się, jakie imię mu dała i dlaczego nie zdradziła mi go przez telefon. Zalewa mnie fala gorąca, gdy myślę, że mógłby nosić moje. Potrząsam głową, zapominam, gdzie jestem i nagle przytomnieję.

– Dużo zarabiają? – pytam Nicka, butelką wskazując na zespół. – Robi się tu tłoczno.

Nick parska śmiechem.

– Chyba jesteś tu od niedawna, co, koleżko?

Może się cmoknąć, jeśli myśli, że dam się sprowokować. Przecież w ogóle nie powinno mnie tu być.

– Zaraz wracam – odpowiadam radośnie. – Idę na szluga.

Wstaję i czuję, że jeansy na tyłku powoli robią się mokre. Jakiś staruch za mną w kwiecistej koszuli i bermudach, wyglądający na dobrze pod sie-

demdziesiątkę, świetnie się bawi i rży z właśnie rozlanego na mnie drinka, jakby nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Ubaw mają też nastolatki siedzące przy jego stoliku. Rechoczą tak głośno, że brzmią niemal agresywnie. Stary mówi:

– Przepraszam, koleś. – Ciągłe się śmiejąc, dodaje: – Kolejne piwo ja stawiam. – Nie rusza się jednak z miejsca i nie garnie się, by cokolwiek kupować ani pomóc mi się osuszyć. Zapomniałem, po co tak właściwie wstałem.

Susząc się w toalecie, myślę: mam wrażenie, że minęła wieczność, od kiedy z kartą pokładową w dłoni stałem przy bramce na lotnisku i patrzyłem, jak mój samolot robi się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu znika między chmurami. Na chwilę zapomniałem o konsekwencjach – po prostu patrzyłem, gapiłem się na tę przerwę między chmurami, która prowadziła samolot na drugą stronę świata do mojej możliwej przyszłości: do Angie, do odpowiedzialności, do kresu siedzenia po nocy i popełniania głupich błędów.

Z powrotem w klubie wycieram jeansy papierowym ręcznikiem. To na nic. Pamiętam, jak patrzyłem na ten odlatujący samolot i myślałem: przecież mogę się ukryć. Minął tydzień. Trzeci poranek z rzędu późno wstałem, z kacem jak cholera, a potem siedziałem z mocną kawą w Starbucksie w Tsim Sha Tsui i gapiłem się w kubek, wyobrażając sobie, że mały pęcherzyk powietrza na powierzchni kawy jest samolotem lub statkiem, który przemierza ocean. Zastanawiam się, na co czekam. Nie wiem, gdzie podziały się te wszystkie dni. Dzisiaj rano dostałem wiadomość od Angie: „Przyjeżdżasz czy nie?”

Gdy wracam z toalety, Nick dowcipkuje z zespołem w przerwie przed kolejnym numerem, może o coś prosi. Spoglądam w dół i pośród łupin od orzechów i lepkich plam po wylanych drinkach zauważam, że moja torba znów zmieniła swoje miejsce. A raczej zniknęła. Szukam jej na podłodze, pod stolikami, za krzesłami, zataczając się po omacku, choć wiem, że już więcej jej nie zobaczę. Pamiętam, jak rano kupowałem ten znak: nad ciągiem chińskich znaczków, które mogłyby znaczyć cokolwiek, napisano: „PO DRINKU MOŻESZ PRZEWRÓCIĆ ŚWIAT DO GÓRY NOGAMI”. Kilka godzin temu rozśmieszyło mnie to. Nie pamiętam, dlaczego. Miało to być chyba tłumaczenie jakiegoś przysłowia. Mądre słowa w chińskim dialekcie brzmiały głupio po angielsku. Po co kupiłem ten znak? I pandę? Jej duże czarne oczy gapiły się na mnie pytająco.

Zespół śpiewa *Hotel California*, dwóch gitarzystów uśmiecha się, wernie odgrywając partie instrumentalne, nuta po nucie, w duecie i harmonii. Piosenka brzmi jak najstarsza melodia na świecie. Zmęczona, niemal martwa. Martwa piosenka z dawno zapomnianej ery. Ale chłopaki starają się, jak mogą, żeby znów przywrócić jej życie. Wyglądają tak, jakby granie partii instrumentalnych z *Hotel California* było najważniejszym zajęciem na świecie. Cała ta scena przyprawia mnie o dreszcze. Można wyczuć, że coś wylewa się z tych muzyków wprost na salę i rozplywa się po pomieszczeniu, wypływa na ulicę, rozlewa się po dzielnicy Wan Chai i po całym Hong Kongu. Tymczasem Nick daje z siebie wszystko, wali pięściami w powietrze. Gdy piosenka się kończy, zespół o mały włos nie dostaje owacji na stojąco. Wokalista ściąga kapelusz, skłania się w pas i mówi:

– Dziękujemy! Jesteście wspaniali!

– Hej, Nick, oni są stąd? – pytam.

– Chłopie, to Filipińczycy. Nie słyszałeś?

Wzruszam ramionami. Nick kręci głową.

– Razem wyjechali z Filipin i razem mieszkają niedaleko stąd. Ciągłe wysyłają większość pieniędzy do domu. Dobrze chłopaki. Ich historia to, kurwa, jakiś dramat. I jednocześnie zajebisty sukces.

– Racja – odpowiadam. – Ale jak to?

Próbuję skupić uwagę na wirujących oczach Nicka.

– Najpierw pojechali do Japonii. Wiesz, Japończycy są dobrymi muzykami, ale, kurwa, prawdę mówiąc, ich język nie radzi sobie z angielskimi dźwiękami. Zły kształt ust. Dobra wiadomość dla Filipińczyków! Kiedyś pracowali w Japonii. A teraz tutaj.

Nick pociera palec wskazujący o kciuk.

– Mają niby więcej zielonych – mówi – ale to wciąż niezła harówka.

Powinienem teraz coś mu odpowiedzieć. Bąknąc jakieś kolejne „tał” lub wyrazić swoją opinię. I chociaż myślę o czymś innym gdzie indziej, pytam:

– Grają jakieś własne kawałki?

– Mogliby – odpowiada. – Ich piosenki są niesamowite. Moim zdaniem to najlepsze piosenki na świecie. Ale co zrobisz? – Lekceważąco macha ręką na zebrany tłum. Myślę sobie: tak, Nick musi być wstawiony.

– Wielka szkoda – mówię do jego wirującego oczu. – Serio.

Zauważyłem, że zespół też wiruje. Bęben basowy wiruje. Gitary wirują. Tak samo tancerze, ekrany, stołki barowe. Wszystko wiruje, zatacza piękne koła. Coraz więcej butelek z piwem pojawia się na naszym stoliku, a puste gdzieś znikają. Nie pamiętam, żebym je opróżniał.

– Rozumiem, czemu tak jest – mówi Nick. – Większość z tych facetów jest daleko od domu. Chcą czegoś, co przypomni im, za czym tak tęsknią.

– To czemu tam nie zostali? – pytam. – Znaczy się, oni są tutaj tylko dla pieniędzy, tak? I żeby kogoś zaliczyć?

Nick zdecydowanie odstawia butelkę na stół. Piana wzbiera się w szyjce, przelewa się przez brzeg butelki i spływa po etykietce z napisem Hong Kong Beer.

– Posłuchaj, koleś. – Próbuje odnaleźć w głowie moje imię. Bezdenna pustka. – Wiesz absolutnie, kurwa, wszystko o tym miejscu, co? – Nick zauważa, że taksuję wzrokiem spódniczkę w kratkę przechodzącą obok nas. – Przyjeżdżasz tutaj, plujesz na nas i zaraz cię nie ma. Tacy goście jak ty przyprawiają mnie o mdłości – mówi, wyszeptując ostatnie słowo.

Nie wiem, o co mu chodzi, ale wiem, że jego brwi tworzą teraz krzaczastą linię, która nie będzie siedzieć spokojnie. Dlaczego? Dlaczego nie będzie siedzieć spokojnie? Jego źrenice są jak dwie spirale. Śmieję się. Nick mówi:

– Obrazisz moich ludzi jeszcze raz, to cię zabiję. Jego twarz staje się poważna i wygląda jak z betonu.

– Twoich ludzi? – pytam. – Myślałem, że jesteś z Zachodniej Wirginii.

Rozglądam się po klubie i myślę: mógłbym zostać tu na zawsze. Potem: muszę się stąd wydostać. Zaraz: ale dokąd? Przez chwilę Nick wygląda jakby miał wykipieć, a z jego ust miałyby się wytoczyć piana jak z tamtej butelki. Jakby chciał mnie walnąć. Zamiast tego zeruje swoje piwo, łapie płaszcz i wychodzi. Chwilę później, jakby to zaplanował, przychodzi spódniczka z rachunkiem. Sama spódniczka. Żadnego uśmiechu. Żadnej kobiety w środku. Płacę i siadam na stołku barowym, żeby popatrzeć na dalszą część koncertu.

Siedzę sam przez chwilę. Gdy zespół zaczyna *Crosstown Traffic*, czuję, jak obca dłoń wślizguje mi się pod rękę i łąduje na pasie.

– Cześć – odzywa się nieznajomy głos.

– Cześć – odpowiadam. Szybko dodaję: – Urodził mi się syn. Nie powinienem tu być.

– Miło – mówi głos, wydobywający się z ciepłego ciała, które już zdążyło się do mnie zbliżyć.

Gitarzysta Numer Jeden zmienia sprzęt na bardziej wysłużony, z czarnymi plamami na bokach pudła. Wiem, co się szykuje. Zagrają Hendrixa. Garniturki na to czekają.

– Mnie też nie powinno tu być – mówi głos.

– To co tu robisz? – pytam.

– Interesy w Hong Kongu – odpowiada głos z ciałem i rękoma. Po chwili dodaje: – Brudne interesy!

Szeroki uśmiech, chichot. Pachnie perfumami i potem.

– Mam rodzinę – mówię. – Chcę ją odwiedzić.

– Dobrze. To będzie nasz sekret. Masz ochotę na jakiś brudny interes?

To wcale nie jest zabawne, więc nie wiem, dlaczego się uśmiecham. Znowu się śmieję. Nie mogę się powstrzymać.

– Nie ma mowy – mówię, wciąż się śmiejąc. – Żadnych kłopotów. To dlatego oni wyjechali do...

– Anglii, tak? Pojadę do Anglii. Pobierzemy się. Będę miała dużo dzieci.

Jednym haustem dokańczam drinka, który przede mną stoi, chociaż nie wiem, czy to mój.

– Nie. Żadnej Anglii. Wiesz co... jebać to. Przepraszam. Nie mogę.

Ciężko jest mi znaleźć odpowiednie słowa.

Głos i ciało należą do dziewczyny, która wygląda zarówno młodo, jak i staro. Jej oczy mówią: „Znam cię”. Jej usta mówią: „Znam cię”. Jej dłonie mówią: „Znam cię”. Dąsa się, udaje smutną, seksowną, jej mina małej dziewczynki musi działać na zgromadzonych tu facetów. Sekundy mijają. Nic się nie dzieje.

W końcu odzywa się:

– Skoro nie możesz, to co tu robisz?

Jej głos się urywa. Noc jest krótka.

– Hej, słyszysz mnie? Co tu robisz?

Gdy nie odpowiadam, podąża za moim spojrzeniem. Facet w garniturze od Armaniego stoi pod sceną, parkiet jest pełny, a on skłania się nisko w wyrazach uznania Gitarzyście Numer Jeden, który po raz pierwszy tego wieczoru daje czadu na gitarze. Potem prostuje się, coś krzyczy, rozgląda się dookoła i znów na mnie patrzy. Tylko przez chwilę. Uśmiecha się. W jego

oczach szaleją lata siedemdziesiąte. Jest młody, z nikim niezwiązany, bez rozvodu i dzieciaków, bez dziesiątek lat w handlu, ucieczka zapomnienia na Wschód jeszcze przed nim. Gdy tutaj idzie ulicą, każdy chce powiedzieć: „Cześć”. Gdy mówi, ludzie słuchają. Życie jest takie zajebiste, co nie? Wysoko podnosi butelkę z piwem, rusza ustami do słów *Crosstown Traffic* i przyciąga do siebie swoją nową dziewczynę, żeby raz jeszcze ją pocałować.

*Dawno, dawno temu* Debi Gliori jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Once upon a time* by Debi Gliori is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).



Debi Gliori

# Dawno, dawno temu

przełożył Janusz Surewicz

Opowieści? Znaczenie książek? Nie naciągajcie mnie na wynurzenia. Im życie staje się cięższe, tym większa jest potrzeba ucieczki. Opowieści proponują wyjście z sytuacji, inne spojrzenie na świat, bycie gdzie indziej, które nie jest ani tutaj, ani teraz. Podobnie jak narkotyki.

Przeczytajcie ich wystarczająco dużo, a pogodzicie się z życiem w wiecznym piekle, ponieważ w głębi ducha będziecie przekonani, że kiedyś tam wszystko zakończy się szczęśliwie. Możecie też spędzić życie w towarzystwie żab, ponieważ dzięki opowieściom uwierzycie, że pod skórą płaza bije serce prawdziwego księcia, lub uwierzyć w mit, że bycie dobrym, szczerym i uprzejmym doprowadzi was po śmierci do nieba.

Ależ proszę. Jediną prawdą jest to, że każdy umiera. Każdy.

Nie zawsze byłem taki. W tamtym czasie Air narzekała, że Mac i ja uwierzimy we wszystko, o czym przeczytamy w książkach. Ale teraz Air nie żyje, a Mac – no cóż – Mac jest gdzie indziej. Tak bardzo gdzie indziej, że nikt nie ma do niego dostępu.

Podobnie jak wiele innych spraw w tamtych czasach, wszystko zaczęło się od książki. Aby to zrozumieć, trzeba cofnąć się do czasów szkolnych, do piątej klasy podstawówki, kiedy to Mac pojawił się w połowie zimowego semestru. Był nowym uczniem klasy zmagającej się z matmą, anglikiem i toczącymi się strajkami, grożącymi zamknięciem szkoły na czas nieokreślony. Mac pojawił się wśród nas, cały w piegach, ze sterczącymi łokciami i kolanami, rudy, w okularach; na pierwszy rzut oka był jednym z tych dzieci, które mają wypisane na czole: „ofiara od urodzenia”.

Neandertalczykom w naszej klasie pocięła ślinka na widok świeżego mięsa, ale, ku naszemu zaskoczeniu, po kilku dniach od przybycia Maca jedliśmy mu z ręki. Wszyscy byliśmy zgodni, że Mac jest wygadany. Miał niezwykle cięty język, a przy tym był niesamowicie skromny – każdy chciał mieć w nim swojego przyjaciela. Jednak, ku mojemu zdumieniu, wybrał mnie do roli swojego jedyne go powiernika sekretów i bliskiego towarzysza. W ciągu kilku dni staliśmy się nierozłącznymi kumplami, spędzając każdą wolną chwilę w swoim towarzystwie, dzieląc się naszymi najgłębszymi sekretami, nadziejami i obawami, aż zaczęliśmy rozumieć się bez słów.

W epoce poprzedzającej laptopy i komórki naszym wspólnym terytorium były książki. Miałem zawsze nos głęboko zanurzony w tej lub innej opowieści, a w Macu znalazłem nie tylko swoje odbicie, ale jego dziesięciokrotne powiększenie. Jeśli ja czytałem książki, to Mac je pożerał. Pochłaniałem i cytowałem treści odkryte między stronicami, lecz Mac żywił się, oddychał i żył nimi, sam stając się opowieścią. Dla Maca nie istniała granica między rzeczywistością a fikcją. Ujmując to inaczej – od kiedy nauczył się czytać, miał głowę zanurzoną w połowie w głąb króliczej nory, słuchając tykania spóźniającego się zegarka królika. Dla Maca, każda kępa drzew była Puszcza, każda szafa przejściem do innego świata, a gdyby udało mu się odwrócić dostateczną ilość głazów, z pewnością któregoś dnia natknąłby się na Piaszkoduszka.

Wiara Maca w świat wyobraźni prawie nie zmieniła się po przejściu do gimnazjum. Zewnętrznie wiek dojrzewania siał swoje zwyczajowe spustoszenie: pryszczki, tykowane kończyny i dobijające milczenie przerywane gęganiami, piskami i hałaśliwością wyrażającą niepokoję okresu dojrzewania. Ale wewnętrznie Mac pozostał wierny swojej „macowatości”. Był staro-młody, ponad wiek rozwinięty i – pomimo bycia największym chuderlakiem naszego roku – przyciągał niewspółmierną do swojego wyglądu liczbę adorujących go, zachwycających młodych kobiet. Air – w roli Wendy dla swojego Piotrusia – związała się z nim, stając się w ten sposób częścią mojego życia.

Podobnie jak muszkietierowie czerpaliśmy siłę z bycia w trójkę. Air była twarda, harda i sprytna. Tolerowała moje i Maca zamiłowanie do fikcji, ale wolała swoje przywiązanie do gazet.

– Gadacie bzdury – mamrotała w obliczu najbardziej dziwacznych fantazji Maca.

– Weźcie się w garść, chłopaki – nalegała, kiedy byliśmy śmiertelnie przerażeni jakimś okropieństwem, wyolbrzymianym do granic wytrzymałości przez naszą wybujałą wyobraźnię. Ale ostatecznie ten cały zdrowy rozsadek nie zdołał jej uratować. Air zgubiła przyjaźń; dla strzał fortuny lojalność okazała się groźniejszym słabym punktem niż nieszczęsna pięta starożytnego Greka.

Powiedziałem, że zaczęło się od książki, ale w rzeczywistości zaczęło się od Mhairi, starszej siostry Maca. Kiedy rozpoczął się nasz drugi rok w szkole średniej, Mhairi była na ostatnim roku medycyny na Uniwersytecie Glasgow. Na Great Western Road zdarzył się wypadek z pijanym kierowcą. Mhairi, wracająca rowerem z biblioteki z sakwami wypełnionymi książkami, nie miała żadnych szans. Śmierć była natychmiastowa.

W obliczu takich tragicznych zbiegów okoliczności całe życie wywraca się do góry nogami. Po powrocie do szkoły, tydzień po pogrzebie, w Macu widać było zmiany. Air i ja otoczyliśmy Maca, próbując go pocieszyć, ale nie mogliśmy do niego dotrzeć. Mijały miesiące, nastał kolejny rok, ale u Maca nie nastąpiły jakiegokolwiek oznaki poprawy. Przypuszczam, że przypadkowość śmierci siostry nie dawała mu spokoju, że rozważania typu „co, jeśli” i „gdyby tylko” nie pozwalały mu spać, napawając go gniewną rozpaczą. Odmawiał jednak rozmów na ten temat. Miał wiecznie zaczerwienione oczy i jeśli da się powiedzieć o patykowatym owadzie, że stracił na wadze, to Mac się skurczył.

– Teraz nawet nie mogę uciec do książek – wyznał. – To zbyt duży wysiłek, a poza tym żadna z postaci nie wydaje się już mieć jakiegokolwiek znaczenia. Ich nadzieje i marzenia są po prostu... jałowe. Tracę zainteresowanie nimi po około pięćdziesięciu stronach...

– Spróbuj z opowiadaniem – zasugerowała Air. – Większość z nich nie ma nawet pięćdziesięciu stron.

– Nie cierpię opowiadań – powiedział Mac. – Nawet nie wiem, czy mam jakieś w domu.

Ale miał. W następnym tygodniu opowiadał nam, jakim niezwykłym pisarzem jest H.G. Wells. Tydzień później w jego oczach pojawił się błysk,

jakiego nie widziałem od czasu wypadku. Po pierwszej rocznicy śmierci Mhairi zaczęliśmy myśleć z Air, że najgorsze minęło. W ten sposób odnowiliśmy naszą przyjaźń i życie toczyło się dalej. Siostra Maca w grobie, jego rozpacz w widoczny sposób uśmierzona, a przed nami cała nasza jasna przyszłość. Przynajmniej tak nam się wydawało.

Owego roku nadeszła szybko ciężka zima, liczba bezrobotnych przekroczyła trzy miliony, ceny ropy naftowej poszybowały ostro do góry, rynek akcji załamał się i nastrój ponurej beznadziei zdał się ogarnąć naród. Air, Mac i ja trzymaliśmy się bliżej siebie, próbując powstrzymać ciemności z dala od nas. Tłumaczyliśmy sobie, że cały ten bajzel jest sprawą dorosłych i że się do niego nie przyczyniliśmy. Jak przystało na nastolatków, zignorowaliśmy go; podgłościliśmy muzykę i założyliśmy, że jeśli pokolenie naszych rodziców nie zniszczy całkowicie planety do czasu, kiedy ją odziedziczymy, to szybko wszystko naprawimy.

Tej nocy zaszyliśmy się w pokoju Maca, lecz równie dobrze mógłby to być pokój mój lub Air. Ciągle zastanawiam się, czy mogliśmy byli zapobiec temu, co się wydarzyło. To tak, jak gdyby przez zmianę jednej prostej rzeczy, historia Maca i Air mogłaby mieć inne zakończenie. Jednak w tejże historii Air czytała na głos gazetę, podczas gdy ja przerzucałem winylowe płyty kolekcji Maca, a on sam robił stójki przy drzwiach sypialni.

– Im więcej czytam tego gówna, tym mniej mam ochotę na dorastanie – powiedziała Air, zgniatając gazetę w kulkę i ciskając ją w róg pokoju.

Mac kompletnie zignorował Air, wystukując palcami stóp rytm na drzwiach i pogwizdując pod nosem.

– A ty co myślisz, Mac? M a c ? – nalegała.

– Myślę – powiedział Mac z ciągle zamkniętymi oczami. – Tak naprawdę, dużo myślę.

Spędzam również wiele czasu do góry nogami. Poprawia to przepływ krwi do mózgu i dlatego wyostrza moją zdolność myślenia – tak przynajmniej mówi Mhairi.

Air obróciła głowę i utkwiała wzrok we mnie.

– Mówi? – powiedziała bezgłośnie, nieuchwytnie obracając głowę w kierunku Maca.

W tym momencie wyglądała na lekko zmieszaną. Potem przeszło to w dezorientację, zdumienie i w końcu w osłupienie. Ale na razie była rozbawiona.

Ja również. Być może „Mhairi mówi” było tylko przejęzyczeniem. Być może Mac chciał rzec: „Mhairi powiedziała” lub „Mhairi mawiała”. Przejęzyczenie – zdecydowałem, gdy tylko Mac otworzył oczy, zwinął się w kłębek i opuścił stopy na podłogę, przypadkowo rozlewając na mnie i Air pół kubka letniej kawy, zanim stanął prosto na nogach.

– Naprawdę – kontynuował, gdy wycieraliśmy rozlaną kawę. – Ostatnio dużo myślałem.

I coś w jego oczach zmusiło mnie do pomyślenia: „HOLA, poczekaj no”, ale już odleciał, werbalnie wyrywając się na mile do przodu; każde zdanie wypływało z niego ciurkiem w bezładnej mieszance pseudonauki, mistycznych hippisowskich bredni i dziwacznych syntaktycznych zlepek, powodujących mętlik w mojej głowie. Obok mnie Air potrząsała szybko głową z boku na bok w akcie negacji.

– Poczekaj. P o c z e k a j. Och, daj spokój Mac. Wiesz, że to nie jest możliwe. Tylko uspokój się, proszę – błagała.

Ale Mac, teraz rozkręcony, okazał się nie do powstrzymania.

– Wiem. Myślicie, że zwariowałem, ale nie wiecie, n i e m o ż e c i e wiecie, dopóki nie spróbujecie. To jest... nie do wiary. Mhairi wie, o n a w a s przekona. Naśmiewajcie się do woli, ale kiedyś zobaczycie... Mówię wam, to działa. TO DZIAŁA.

To?

„Tym” był, z braku innego terminu, wehikuł czasu. W e h i k u ł c z a s u, podobny do urządzenia pozwalającego użytkownikowi świadomie łamać prawa fizyki i wkraczać na teren czystej science fiction. To musiał być żart. Mac nabierał nas na potęgę. W rzeczywistości to było zbyt dobre na podpuchę, a Mac był zdecydowanie zbyt przekonujący w roli szaleńca. Prawdę mówiąc, przerażał mnie śmiertelnie, a sądząc po wyrazie twarzy Air, ją również. Już dość. Próbowałem być beztroski, ale mi się nie udawało.

– Mac, na miłość boską! Z trudem ścielisz sobie łóżko. Zrobienie grzanki jest dla ciebie zbyt trudnym zadaniem. Jak, u diaska, możesz oczekiwać, że uwierzymy, że mógłbyś zbudować wehikuł czasu?

Olśniewający uśmiech i wzruszenie ramion były jedyną odpowiedzią. Po drugiej stronie Air wbiła ze wszystkich sił palce we włosy, jak gdyby jej głowa miała się oderwać od szyi.

– Och, daj spokój, Mac... Stary!... Wiem, że śmierć Mhairi cię zdołowała, ale to jest szaleństwo. Mhairi nie żyje. Nie ma jej... Nie możesz...

– Ona żyje – nalegał Mac. – Przynajmniej w przeszłości... żyje. Nie rozumiecie? Mogę cofnąć się w czasie. Mogę z nią być, z Mhairi sprzed wypadku. Mogę z nią rozmawiać. Pytać ją o różne sprawy. Pokazała mi, jak tego dokonać. Słuchajcie, udowodnię wam to. Chodźcie ze mną. Pokażę wam. – Złapał Air za ramię: twarz miał wykrzywioną od wysiłku rozpaczliwego poszukiwania słów, które spowodowałyby, że mu uwierzemy.

– Możecie pomóc. Chcę dowiedzieć się, co będzie potem. W przyszłości. Zobaczycy, czy możemy uczynić świat lepszym.

Patrząc z perspektywy czasu, był to moment, w którym powinienem był odnaleźć rodziców Maca i błagać ich, aby znaleźli pomoc dla gwałtownie odlatującego syna. Ale to oznaczałoby powiedzenie Macowi, że jego pomysły są niemożliwe do wykonania i że myślimy, iż goni w piętę. Jak moglibyśmy – my, jego przyjaciele – zburzyć tę całą kruchą i chwiejącą się budowlę; skonstruował ją przecież, aby dać sobie radę z boleścią spowodowaną utratą siostry? Jednym z najbardziej przerażających aspektów tej nocy był stopień, do którego Mac w jakiś sposób, niezauważalnie przez nas, stał się całkowicie uzależniony od fantazji. Musiał spędzić miesiące, budując wewnętrzną „macologikę”, która wyjaśniała, jak mogłoby działać coś tak nieprawdopodobnego. Wiele lat później dowiedziałem się, że psychologowie mają na to termin – dysonans poznawczy. W istocie polega on na robieniu czegoś jedną połową umysłu w czasie, gdy druga połowa zmuszana jest do negocjowania tego. Jest to dysocjacja osobowości, która w zależności od stopnia rozszczepienia może stać się trwała.

Czułem się sparaliżowany strachem, gdy szliśmy schodami w dół za Makiem, maniakalnie paplającym o turystyce w czasie i o dziwacznych czekających na nas w przyszłości, ale ciągle miałem nadzieję, że w jakiś cudowny sposób to, co mówi, jest prawdziwe.

Potem znaleźliśmy się na zewnątrz. Air i ja, z jeszcze wilgotnymi plamami od kawy, przemoknięci i trzęsący się na chłodnym wietrze, podążaliśmy za Makiem wzdłuż ścieżki obok nieuprawianych grządek i weszliśmy do szopy w ogrodzie.

Przed śmiercią Mhairi ojciec Maca próbował utrzymywać porządek w ogrodzie, ale piętnaście kolejnych miesięcy zaniedbania odbiło się na

jego stanie. Mac otworzył drzwi na oścież, odsłaniając widok rdzewiejących grabi i motyk wiszących na hakach. Nasiona wysypywały się z przegniłych opakowań, a podłogę ubarwiały ptasie odchody. W rogu stał wynalazek Maca, spowity jutowymi workami. Jeśli potrzebne były kolejne dowody na rozluźniający się związek Maca z rzeczywistością, bezładna mieszanina przedmiotów przed nami niezbitcie świadczyła o tym, że nasz przyjaciel jest chory, i to nie od dziś. Ujrzałem siedzenie samochodowe z pasem bezpieczeństwa, wiekowy odkurzacz, worek z pralni chemicznej przykrywający zwykłą lampę i radio z budzikiem przyklejone taśmą do górnej powierzchni monitora komputerowego. A wszędzie dookoła leżała mieszanina przewodów rozruchowych, kabli, przedłużaczy elektrycznych: wszystko połączone ze sobą, przy pomocy taśmy lub poskręcane, bez jakiegokolwiek względu na celowość i kompatybilność.

Air usunęła się na bok, zakrywając twarz, a ja unikałem kontaktu wzrokowego z Makiem, ale on już tak bardzo pałał chęcią zademonstrowania skuteczności swojego urzędu, iż wątpię, czy to zauważył.

– Wiem, wiem – mamrotał, pstrykając przełącznikami i, ku mojemu przerażeniu, podłączając coś do gniazdka w ścianie. – Nie wygląda na nic wielkiego, ale poczekajmy, aż to cudo zaskoczy i zacznie działać, a wtedy z o b a c z y c i e...

Och, widziałem to dobrze. Zobaczyłem coś, czego nigdy nie zapomnę, choćbym nie wiem, jak bardzo chciał. Mac wsunął się na siedzenie samochodowe, z powagą zapiął pasy, naciągnął plastikowy worek z pralni na głowę i włączył odkurzacz. Nie mam pojęcia, co do diabła myślał, że robi, ale gdy plastikowy worek przylgnął do jego twarzy, Air skoczyła do przodu, wrzeszcząc: „, NIE! NIE! Idioto, udu...”.

Nastąpił błękitny błysk. Air wydała z siebie coś pomiędzy zdziwionym kasznięciem a chrząknięciem, poszybowała do tyłu i padła na podłogę. Wylądowała na jednym z kłębowisk przewodów Maca i zanim zdałem sobie sprawę, że – biorąc pod uwagę, iż niedawno oblano ją zimną kawą – właśnie ulega porażeniu prądem, a jej wierzganie nogami nie wynika po prostu z bólu i wściekłości, z całą pewnością już nie żyła.

Omińmy kilka rozdziałów do momentu, gdy Mac siedzi na swoim łóżku obok okna. Nie ma tam za wiele do zobaczenia, ale on wpatruje się w dzie-

dziniec, po którym spacerują bez celu towarzysze jego podróży. Kółko za kółkiem, tam i z powrotem, paląc papierosy, jak gdyby ich życie zależało od tego. Początkowo nie pozwalano mi na odwiedziny z powodu obaw, że mógłbym przypomnieć mu noc, podczas której straciłem ich oboje. Potem sprawy nieco zelżały i w piątki po szkole jeździłem rowerem na oddział, aby odwiedzić mojego przyjaciela. Po śmierci rodziców Maca stałem się jedynym odwiedzającym, poza starą ciotką i pracownikiem socjalnym, który przywiązał się do niego przez te lata. Tak wiele, wiele lat.

Air jest mocno usadowiona w czasie – trzynastolatka na zawsze; dziecko w porównaniu ze średnim wiekiem Maca i ze mną. Należymy teraz do świata dorosłych i, o ile wierzyć wiadomościom, nadal paprzemy wszystko. Ale tutaj przewagę ma Mac. Siwy, łysiejący Mac może na zawołanie podróżować w czasie. Przywołuje do siebie Mhairi i Air i – sądząc po jego huraganowym śmiechu – wszyscy chyba wspaniale bawią się razem. Nie potrzebuje już wehikułu, aby cofnąć się w czasie. W rzadkim momencie jasności umysłu, po jakimś zamieszaniu z lekarstwami, powiedział mi, że ściągnął apkę do podróży w czasie bezpośrednio na swój wewnętrzny dysk, co pozwala mu poruszać się swobodnie po czasoprzestrzeni.

I na całe szczęście – biorąc wszystko pod uwagę. Przyjrzyjcie się dokładnie, a zobaczycie, że łóżko Maca ma długie pasy obojętniające wszyte w materac, a okna w jego pokoju nie otwierają się. Od czasu do czasu, gdy Mhairi i Air za bardzo zaszaleją, Mac kończy z twarzą na podłodze, a lekarz dyżurny robi mu dodatkowy zastrzyk z czymś tam, mającym przywrócić biednego Maca szybko do teraźniejszości, pomimo jego programu do podróży w czasie.

Jest prawdą, że historia Maca nie kończy się na „odtąd żyli długo i szczęśliwie”. Chociaż nie mogę tego zobaczyć, wiem, że Mac wierzy, iż Mhairi i Air są przy jego łóżku.

Obserwują i czekają: Mhairi obejmuje ramieniem plecy młodszej dziewczyny, pocieszając ją, mówiąc jej te czy inne kłamstwa, o których przeczytała w tamtych latach w jednej z książek, przywożonych do domu z uniwersyteckiej biblioteki.

– Kiedyś znajdą odpowiednie lekarstwo i mój brat będzie mógł prowadzić normalne życie.



Biedna Mhairi – mówią to jej książki, więc to musi być prawda.

Air nachyla się, klepie Maca w ramię i szepcze: „A kiedy umrzesz, pójdziesz do nieba”.

Ona n i e żyje, więc można przypuszczać, że powinna być na tyle mądra, by nie wygłaszać takich nonsensów, ale miliardy książek są w tym zgodne, więc to musi być prawda. Z pokoju Maca usunęli Biblię po tym, jak próbował ją zjeść, strona po stronie, ale przypuszczam, iż gdyby tylko zechciał, ciągle jeszcze mógłby recytować całe fragmenty. Na szczęście nie robi tego. Zamiast tego patrzy przez okno na zbłąkanych wędrowców, na osiadłych na mieliźnie podróżników w czasie, na drobinki kurzu unoszące się w promieniach słońca, na ćmę usiłującą uwolnić się z opuszczonej pajęczyny.

*Banda z Brook* Keitha Graya jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Brook Crooks* by Keith Gray is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Keith Gray

# Banda z Brook

przełożyła Monika Bednarek

Ogrodzili teren gigantyczną bramą. I od razu pomyślałem sobie: „Niby kto miałby włamać się do Brook High?”. Przypomniało mi się, jak bardzo Panny i Phil chcieli się w y ł a m a ć i strasznie mnie to rozśmieszyło. Totalna ucieczka, normalnie jak z Alcatraz. Slalom między reflektorami, w oknach nauczyciele z karabinami. Uznałem, że Panny mógłby jeszcze dać radę, ale Phil był już martwy – szybka kulka w tył głowy i po zabawie. Nigdy nie był w stanie przebiec więcej niż trzy metry i nie zatrzymać się na fajkę i burgera.

Zaskoczył mnie widok tego ogrodzenia. Miałem trzynaście lat, kiedy tata wymyślił, że musimy się stąd ruszyć, po czym przeciągnął nas przez pół kraju, żeby osiąść na jakimś totalnym zadupiu. Wiedziałem, że sprawy mogą nie wyglądać tak samo jak dwa lata temu, ale często wyobrażałem sobie, że wpadam do szkoły i jak gdyby nigdy nic wchodzę na lekcję Panny’ego i Phila i siadam w ławce obok nich, jakbym wcale nigdy nie wyjechał. Nie spodzianka! Nauczyciele na maksa się wpienią, a moi kumple stwierdzą, że to najzabawniejsza rzecz na świecie. Wyszczrzyłem się szeroko na myśl o minach Panny’ego i Phila – totalnie bezcenne. I będzie jak za starych, dobrych czasów. Panny, Phil i Kenzie – Banda z Brook znowu w komplecie.

Brama była zamknięta. Wetknąłem głowę między pręty – przynajmniej budynek po drugiej stronie wcale się nie zmienił. Większości ludzi pewnie wydawał się okropnie brzydki, ale na moje oko, po tym, jak zostałem skazany na zadupie na tak długi czas, te szare betonowe bloki wyglądały fantastycznie. Wyglądały znajomo.

Do szkoły można było dojść tylnym wejściem od Raymond Avenue. W gruncie rzeczy była to po prostu dziura w marnie wyglądającym żywopłocie. A marnie

wyglądał głównie dlatego, że przynajmniej dwa razy dziennie przeciągaliśmy przez niego dzieciaki pokroju Toby'ego Mittena. Okoliczni mieszkańcy zawsze narzekali na to, że hałasujemy, śmiecimy i jeździmy rowerami po chodniku. Uznałem, że to oni musieli postawić ogrodzenie, żeby zmusić wszystkich do używania głównego wejścia na Straub Street, chociaż dla każdego mieszkającego po tej stronie oznaczało to nadrabianie sporego kawałka drogi.

Zaczynało padać. Co prawda na razie tylko trochę kropiło, ale skoro nigdy wcześniej nie chodziłem okrężną drogą, tym bardziej nie zamierzałem robić tego teraz. Po co miałbym cokolwiek zmieniać. I tak też, przez wzgląd na dawne czasy, wspiąłem się na bramę.

Byłem w połowie drogi, kiedy ktoś zaczął walić w szybę. Zeskoczyłem szybko z powrotem. Jakiś staruch stojący w oknie pobliskiego domu wrzasnął na mnie, jakbym był psem:

– Na dół! Złaż stamtąd!

Wicie jak wygląda to miejsce na siedzeniu skórzanego fotela, całe zapadnięte i pomarszczone od utrzymywania zbyt wielu tłustych tyłków? Tak właśnie wyglądała twarz tego faceta. Wymachiwał w moją stronę telefonem, jakby groził, że wezwie policję, zadzwoni do szkoły, czy coś.

– Na dół! Złaż stamtąd!

Wskazałem palcem na swoje stopy.

– Przecież już zląłem, nie? – I machnąłem rękami w geście „koleś, o co ci chodzi”.

Stałem sobie spokojnie, powoli zapinając kurtkę aż pod samą brodę. Włożyłem ręce do kieszeni i kopnąłem parę grudek ukruszonego asfaltu. Potem, kiedy już zdecydowałem, że taki mam kaprys, ruszyłem niespiesznie samym środkiem drogi, tak, żeby staruch mnie widział.

Ale gdy tylko skręciłem za róg, zacząłem biec. Chciałem być przy głównym wejściu, zanim skończą się lekcje. Wiedziałem, że Panny i Phil zawsze szybko zwiewają do domu.

Od wieków męczyłem mamę o to, żeby pozwoliła mi wrócić. Sprawa wygląda tak, że moja nowa szkoła to szkoła dla dupków i popaprańców. Taka mała, tycia szkółka w małej, zadupiastej wiosce, w tycim, zadupiaстым hrabstwie. Kod pocztowy: Z4 DUP13. Ale jeśli zależy wam na tym, żeby nauczyć się, jak być jeszcze większym dupkiem, to jest to miejsce dla was.

A już największym dupkiem jest Mickey Thomas – dupek totalny, przez duże D. Z jakiegoś powodu to on decyduje, kto jest spoko, kto się nadaje, a komu dwa razy w tygodniu zabiera się plecak i napełnia go krowim łajnem z farmy jego taty. Problem jest taki, że jego pojęcie bycia spoko jest naprawdę dziwne. Zna nazwy wszystkich traktorów. I chociaż minęły już dwa lata, to ciągle nazywa mnie „nowakiem”, „miastową pałą” i naśladuje mój akcent. Albo raczej to, co według niego brzmi jak mój akcent.

Jest wielki, wystarczająco duży, żeby podnieść krowę jedną ręką. Twierdzi, że zabija kurczaki odgryzając im głowy. No i wymyśla swoje własne zasady, na przykład: ten, kto we wtorek nosi niebieskie adidas, musi zapłacić mu pięć funtów. Ale mówi o tym dopiero, jak zobaczy, że założyłem moje ulubione adasie. I albo mu zapłacę, albo przez resztę dnia muszę chodzić w samych skarpetkach. Inne dzieciaki jakoś się z nim dogadują, uważają, że jest zabawny. Nie ogarniam tego. Cała ta szkoła jest jakaś dziwna, totalnie na opak. I wszystko jest nie tak, jak powinno być.

Próbowałem załapać z Mickeyem jakiś kontakt. Próbowałem polubić traktory. Opowiedziałem mu trochę o rzeczach, które robiliśmy razem z Philem i Pannym. Jak jednego razu przykleiliśmy Toby’emu Mittenowi książkę od matmy do twarzy. Nauczyciele zawsze mówili, że Toby nie może się od niej oderwać, więc złapaliśmy go kiedyś i zrobiliśmy mu przysługę.

Panny, Phil i ja mówimy na siebie Banda z Brook, ale zawsze łobuzowaliśmy bardziej dla zabawy i zabicia czasu. Za to głównym celem w życiu Mickeya Thomasa wydaje się totalne uprzykrzanie mi życia w tej jego popapranej szkole w popapranym świecie totalnie na opak.

Oczywiście tata ma gdzieś, że przez niego wylądowałem w tym powalonym miejscu, którego w ogóle nie ogarniam. Oboje z mamą traktują mnie, jakbym wciąż miał dziesięć lat. Niby nie zabronili mi całkiem kontaktowania się z Pannym i Philem, ale na wszelki wypadek używam teraz tylko szkolnego mejla. Mama dowiedziała się o sprawach z Brook tylko dlatego, że szperała w moich mejlach, więc nie ma mowy, żebym mógł jej teraz ufać. Nie wiadomo, na jakie zadupie tata będzie nas chciał wywieźć następnym razem.

Ale nie opowiadam Panny’emu i Philowi o wszystkim. Czasami mówię im, co robi mi Mickey, ale przedstawiam to tak, jakbym ja też brał w tym udział.

Dopadłem głównego wejścia do szkoły w chwili, gdy zadzwonił dzwonek. Cały byłem spocony, ale cieszyłem się, że pobiegłem.

Dwie sekundy później ludzie zaczęli wylewać się ze szkoły na Straub Street. Nie padało aż tak strasznie, ale większość z nich zakładała czapki, kaptury albo wyciągała parasole. Niektórzy nauczyciele spieszyli się do domów równie rozpaczliwie jak uczniowie i trąbili z samochodów na ociągających się przechodniów. Uznałem, że zamknięcie bramy od Raymond Ave zakorkowało tę stronę.

Bałem się, że w tym tłumie nie znajdę Panny'ego i Phila. Co, jeśli ich nie zauważyłem i już poszli już do domu? Tyle mnie to kosztowało. Może nawet nie było ich dzisiaj w szkole. Może urządzili sobie Dzień Xboxa i siedzą u Phila.

Na tę myśl zrobiłem się totalnie zazdrosny. Wtedy zawsze był największy ubaw. Phil rzucał czasem hasło: „trzeba przegłosować sprawę jutra: zajęcia z rozwoju osobistego z panią McHenry czy Dzień Xboxa?”

Tych dni brakowało mi chyba najbardziej. Zakaz wstępu dla rodziców, nauczycieli i dupków, tylko najlepsi kumple, strzelanie i wydurnianie.

Uznałem, że może powinienem kogoś zapytać, czy widział dzisiaj Panny'ego i Phila. Albo pożyczyć komórkę i wysłać im esemesa. Znałem numer Phila na pamięć. Ale czułem się dziwnie, otaczali mnie ludzie, których nie znałem, którzy zaczęli chodzić do Brook, kiedy mnie już tam nie było.

Wtedy zobaczyłem wystającą nad wszystkie inne parasolkę. Znałem tylko jednego człowieka, który mógł być aż tak wysoki.

– Panny!

W każdym razie wydawało mi się, że był to Panny.

– Panny!

To musiał być on. Ale coś idiotycznego stało mu się z włosami, chyba usiłował wyglądać jak jakaś gwiazdka pop. Zacząłem się przepychać przez wypływający ze szkoły tłum.

– Hej, Panny!

Świetnie było zobaczyć zaskoczenie na jego twarzy.

– Kenzie? Co ty tu robisz?

– Wpadłem na weekend, co nie. Mieszkam u wujka. – Wyszczrzyłem do niego zęby. – Mówię ci, ta moja nowa buda to wiocha, totalnie tam nie wyrabiam. Musiałem tu na chwilę wrócić, żeby nie oszaleć. – Stałem tak przed

nim, ciesząc się jak niedorozwinięty szczeniaczek. Musiałem zamienić ze sobą w duchu kilka słów, żeby się trochę uspokoić. – A w ogóle gdzie jest Gruby Phil? Zajęty zwędzaniem ludziom drugiego śniadania?

Panny obejrzał się przez ramię.

– Nie wiem. Powinien gdzieś tu być, chyba go dzisiaj widziałem. – Zauważył moją minę i wzruszył ramionami. – Już się raczej razem nie trzymamy. Zaśmiałem się, bo wiedziałem, że żartuje.

Znowu wzruszył ramionami.

– Muszę już lecieć, umówiłem się z dziewczyną.

Ryknąłem jeszcze głośniej. Miałem nadzieję, że ciągle żartuje.

– No przestań, nasza trójka znowu razem. Spotkanie po latach, co nie? Możemy dorwać Toby’ego Mittensa, niech się popłacze, jak za starych, dobrych czasów.

Panny popatrzył na mnie, jakbym stracił rozum.

– Umówiłem się z Harriet.

– Harriet? – Znałem tylko jedną Harriet. – Spotykasz się z Harriet Festival? Tą z fest cyckami?

– Nie mów tak.

– Przecież zawsze mówiliśmy na nią Harriet Festcyc.

– Może jak mieliśmy dwanaście lat.

– To dlatego masz teraz takie włosy? – Sięgnąłem ręką, żeby je trochę po-targać. Tylko się wygłupiałem, zresztą i tak byłem za niski, by ich dosięgnąć, ale Panny trzepnął mnie w rękę. Mocno.

Spiorunował mnie wzrokiem, po czym przeczesał palcami i przygłaskał tę swoją idiotyczną, pocieniowaną grzywkę, upewniając się, że nie zniszczyłem mu stylowy.

Staliśmy tak w deszczu. Wyglądał dziwnie z tą parasolką, ale nie chciałem mówić tego na głos. Wokół nas cały czas przepływał tłum.

– Nie przyjechałem na długo – zacząłem. – Może...

– Obiecałem Harriet.

– No to jej od-obiecaj.

Pokręcił głową.

– Zadzwoń jutro, jeśli chcesz.

– Nie mam ze sobą telefonu.

Mój telefon znajdował się pewnie w tylnej kieszeni Mickeya Thomasa. Albo pod tylnymi kołami jego traktora. Albo w tyłku krowy. Gdzieś, skąd już nigdy nie wróci.

Panny wzruszył ramionami.

Staliśmy tak w deszczu.

– Po prostu myślałem, że będzie ubaw – rzuciłem, wciąż usiłując go przekonać. – Ty, ja, Phil. Banda z Brook znowu razem.

W końcu się uśmiechnął.

– Banda z Brook. Racja. Już zapomniałem, że nas tak nazywałeś.

Jak mógł o tym zapomnieć? Przecież ja na tym zadupiu myślałem tylko o tym.

– No chodź – naciskałem. – Moglibyśmy dzisiaj...

– Obiecałem Harriet. Zadzwoń jutro, dobra?

Nie powtórzyłem, że nie mam telefonu, bo porwał go już prąd dzieciaków biegnących do wyjścia. Chował się pod parasolem, żeby ochronić tę swoją głupią fryzurę. Nie mogłem uwierzyć, że p r a w d z i w y Panny tak mnie zostawił. Prawdziwy Panny miał w dupie dziewczyny. Dziewczyny i fryzury.

Ale nie zamierzałem się tak po prostu poddać. Jeśli ktokolwiek mógł przywołać do nas prawdziwego Panny’ego, zrobić magiczną sztuczkę i wyciągnąć tego pomyłonego królika z kapelusza, to był to Phil. Musiałem go tylko znaleźć.

Ale to on znalazł mnie.

Aż podskoczyłem, kiedy na moim ramieniu wylądowała jakaś łapa, a czyjs głos wrzasnął mi prosto do ucha: „Nalot galot! Nalot galot!”.

Wyszczrzyłem się tak szeroko, że uśmiech przepołowił mi facjatę.

– Hej, Kenzie. – On też się szczrzył. – Co tu porabiasz?

Ale wtedy uśmiech spłynął mi z twarzy i z płaskiem rozlał się po ziemi. Byłem w totalnym szoku. Gruby Phil nie był gruby.

– Rany – mruknąłem, ostrożnie dobierając słowa. – Gdzie się podziała reszta ciebie?

Roześmiał się. W przeciwieństwie do mnie. Wyglądał jak jakiś maniak siłowni. Ostatni podbródek, jaki mu został, był kwadratowy jak cegła.

– Naprawdę się zmieniłeś – stwierdziłem. – Czemu nie jesteś gruby?

– A czemu ty nie jesteś ładny? – Przewrócił oczami.

Ciągle nie było mi do śmiechu. Kiedy był gruby, Phil był zabawny. Teraz zrobił się chudy i sarkastyczny.



Dzieciaki przepychające się do wyjścia potraçały nas łokciami. Odpychałem ich, coraz bardziej wkurzony.

– Słuchaj, dzięki za te wszystkie mejle. Sorry, że za często nie odpisywałem. Wygląda na to, że dobrze się bawisz z tym swoim kumplem, Mickeyem, co? Masz totalne szczęście, że stąd uciekłeś.

Nie miałem pojęcia, co miał na myśli, ale nie chciałem mu tłumaczyć, jak naprawdę wyglądały sprawy z Mickeyem.

– Widziałem Panny’ego. Dasz wiarę, że chodzi z parasolką?

Phil znowu przewrócił oczami.

– Ta. Zadziwiające, że w ogóle potrafi jej używać, nie?

– Wspominał, że już się raczej razem nie trzymacie.

– Cóż, sprawy się zmieniają.

– Ja się nie zmieniłem.

– Właśnie widzę.

Nie skomentowałem. Nie podobał mi się sposób, w jaki to powiedział i nie byłem pewien, czy to czasem nie był sarkazm.

– Moglibyśmy coś dzisiaj razem porobić. Myślę. Skoro już przyjechałem. Może ściągniesz Panny’ego i urządzilibyśmy Dzień Xboxa?

– Czemu nie. Może być ubaw.

– Jasne, że będzie ubaw. Totalny ubaw – zaśmiałem się głośno, jakby na potwierdzenie swoich słów. Uznałem, że może i Phil wyglądał jak jakaś nowa, dziwna, chuda wersja siebie, ale w środku wciąż był tym samym Philem. – Banda z Brook w komplecie!

Aż zakołysał się na piętach ze śmiechu.

– Nie wierzę, że ciągle to pamiętasz.

„Nie wierzę, że ty zapomniałeś” – miałem ochotę odpowiedzieć.

Z drzwi wyjściowych wylewała się już tylko cienka strużka dzieciaków i na samym jej końcu zobaczyłem jeszcze jedną znajomą twarz. Twarz, która nie zmieniła się ani trochę. Tobby Mitten. Pryszczaty, kurdupłowaty Toby Mitten. Do przewidzenia, że wychodził ze szkoły ostatni.

Szturchnąłem Phila w ramię.

– Pan przodem.

– Że co? – Popatrzył na mnie, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi.

– No, Toby Mitten? Nawet nie wiesz, jak tęskniłem za obijaniem mu nosa. Normalnie jestem na głodzie, myślę.

Ale Phil pokręcił głową.

– Nie.

Toby musiał nas zauważyć, bo zwolnił. Wolał już totalnie przemoknąć, niż przejść obok nas. Poprawiło mi to humor. On o mnie na pewno nie zapomniał.

Ale Phil do niego pomachał.

– Toby i ja jesteśmy teraz kumplami.

Popatrzyłem na niego, czekając aż puści do mnie oko, wyszczerzy się, nawet powie coś sarkastycznego. Też bym się wyszczerzył i puścił oko.

Toby Mitten podszedł i stanął z nami.

– Cześć – powiedział do mnie. – Dawno się nie widzieliśmy – powiedział to prosto do mnie. – Jak leci? – Nawet wyciągnął rękę na powitanie.

Za kogo on się uważa? Byłem w totalnym szoku. Miałem ochotę przywalić temu całemu „jak leci, dawno się nie widzieliśmy” prosto w tę jego durną twarz. Ale Phil złapał mnie za ramię.

– Ej, czego?

– Kumplujemy się – powiedział Phil.

Nic, nawet widok Mickeya Thomasa przelatującego nad nami na traktorze, nie wstrząsnęłoby mną bardziej. Próbowałem wyrwać się z uścisku Phila.

– Ale to Toby Mitten.

Phil nie puszczał.

– Jesteśmy kumplami – powtórzył.

Gdyby Mickey Thomas spróbował teraz wylądować na mnie tym trakto-rem, to wciąż byłbym mniej dotknięty.

– Ale to MY jesteśmy kumplami. Panny, Phil i Kenzie, Banda z Brook w akcji. Pamiętasz?

Phil puścił mnie, przewracając oczami.

– Banda z Brook brzmiało idiotycznie, nawet gdy mieliśmy po dwanaście lat. Stałem tam. Po prostu tam stałem. Stałem i nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Toby pomaga mi z lekcjami – powiedział Phil. – Jak inaczej mam stąd nawiąć? Ty masz szczęście. Ja też nie zamierzam utknąć w tej dziurze na zawsze.

Stałem tam i mokłem. I robiłem się coraz bardziej wkurzony. Nie mogłem zrozumieć, co się działo. Przez dwa lata spędzone na tym cholernym zadu-

piu myślałem tylko o tym, żeby nawiać i wrócić. Przez dwa lata pragnąłem tylko odzyskać swoje stare życie. Ubóstwiałem wszystko związane z Brook. Ale teraz wszystko się zmieniło i nie byłem w stanie zrozumieć dlaczego. Ciśnienie mi rosło.

– Może Toby wpadnie do nas na ten Dzień Xboxa – powiedział dziwny, chudy Phil. – Będzie ubaw, co nie? Panny na pewno n...

Tego już było za wiele. Zdecydowanie za wiele. Odwróciłem się do Toby'ego. Cały mój gniew eksplodował niczym wulkan. Zamachnąłem się na niego.

Ale Toby był szybszy. Poczułem jego pięść, jeszcze zanim zdążyłem ją zobaczyć. Poczułem ją mocno. I wylądowałem na dupie.

Phil rzucił się pomiędzy nas, jakby próbował powstrzymać Toby'ego przed uderzeniem mnie drugi raz. Co było dziwne. Przecież powinno być na odwrót. Ale nos mi pulsował, a przez siedzenie w kałuży zrobiło mi się zimno i głupio i nie chciałem już nikogo tłuc. Więc po prostu w niej siedziałem.

– Co ci odubiło? – Phil popatrzył na mnie, jakbym to ja był wariatem. – Ogarnij się w końcu, dorośnij, czy coś. Może w tej swojej nowej szkole jesteś kimś, ale nie tutaj.

Nie mogłem powiedzieć mu prawdy o Mickeyu Thomasie. Może i bym to zrobił, ale nie wtedy, kiedy stał tu Toby Mitten. Więc po prostu tak siedziałem.

– Chodź, Toby. – Dziwny, chudy Phil rzucił mi jeszcze jedno, pełne odrazy spojrzenie i odszedł.

Ale Toby dodał:

– Idziemy do mnie, jeśli chcesz, możesz pójść z nami.

– Odwal się.

– Po prostu go zostaw – krzyknął Phil. I tak zrobili.

Podniosłem się dopiero, kiedy sobie poszli. Pomacałem nos i skrzywiłem się. Zostałem zupełnie sam, wszyscy rozeszli się już do domów. Popatrzyłem na szare mury, za którymi znajdowały się sale lekcyjne, gimnastyczne, pracownie chemiczne, aula, biblioteka. Wyglądały dokładnie tak, jak je zapamiętałem. Myślałem, że tak dobrze je znam, ale teraz to miejsce wydawało mi się jeszcze bardziej na opak niż moja nowa szkoła.

Wymacałem w kieszeni gruby marker. Na najbliższym słupie od ogrodzenia namazałem: „Kenzie TÓ był”, a pod spodem dodałem datę sprzed dwóch lat. Miałem nadzieję, że nie zmyje jej deszcz.

*Nieodebrana* Barry'ego Hutchisona jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*The Unclaimed Girl* by Barry Hutchison is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Barry Hutchison

# Nieodebrana

przełożyła Marta Crickmar

Imelda Brown stała na peronie i zastanawiała się, co się do licha dzieje. Właśnie wysiadła z pociągu, co samo w sobie było już dziwne, gdyż w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, żeby do niego wsiadała. Za jej plecami z wagonów wysypywali się kolejni pasażerowie. Błądzili po peronie i podejrzliwie przyglądali się innym. Wyglądali na równie oszołomionych co ona. Nad stacją rozciągało się błękitne, bezchmurne niebo. To również ją niepokoiło. Z tego, co pamiętała, ostatnio na dworze padał śnieg, było zimno i ciemno.

Mężczyzna o pomarszczonej twarzy i siwych włosach chwycił ją za rękaw płaszcza. Imelda odruchowo wyszarpnęła ramię z uścisku, ale on prawie nie zwrócił na to uwagi.

– Gdzie ja jestem? – zapytał przerywanym głosem. – Co to za miejsce?

Rozejrzała się dookoła. Z trzech stron otaczały ich ściany dużego, imponującego budynku, filary z piaskowca i wysokie, łukowe okna. Najwyraźniej był tu tylko jeden peron – ten, na którym właśnie stali. Na tablicy zawieszanej nad torami widniało słowo „Przyjazdy”. Nigdzie nie było widać informacji o odjazdach ani nazwy stacji.

– Nie mam pojęcia – przyznała.

– Nie mogę znaleźć Dorothy – niepokoił się mężczyzna. – Nie mogę znaleźć mojej Dotty. Widziałaś ją?

Imelda pokręciła głową.

– Przykro mi – powiedziała. – Nie widziałam.

Mężczyzna załamał ręce, odwrócił się i zaczął niepewnie przeprowiać się przez tłum, wykrzykując imię Dotty.

Imelda po raz pierwszy dokładniej przyjrzała się współpasażerom. Była ich chyba ponad setka i wszyscy wyglądali na zagubionych. Większość osób, które widziała, miało ponad sześćdziesiątkę lub było starszych, ale znalazło się też kilka wyglądających na czterdzieści parę lat. Nie było jednak absolutnie nikogo w jej lub chociaż w zbliżonym wieku.

Kilka osób nawiązało rozmowę, ale z ich postury jasno wynikało, że żadna nie słucha tego, co druga osoba ma do powiedzenia. Kilkoro staruszków płakało. Parę młodszych osób też. Imelda potrząsnęła głową. Płacz nigdy nikomu w niczym nie pomógł.

Rozbrzmienie głośnej melodii uciszyło wzrastającą histerię, nim miała szansę wymknąć się spod kontroli. Imelda spojrzała w stronę, z której dobiegał dźwięk. W dalszej części peronu stał mężczyzna w mundurze i dmuchał w starą, wysłużoną trąbkę.

Melodia trwała kilka sekund. Kiedy się skończyła, mężczyzna energicznym ruchem opuścił instrument do boku i obrzucił spojrzeniem tłum kłębiący się – już teraz bezgłośnie – na peronie.

Jego mundur składał się z granatowego płaszcza, narzuconego na kamizelkę, i spodni w tym samym kolorze. Na tle ciemnego materiału wyróżniały się mosiężne, wypolerowane na wysoki połysk, guziki. Na głowie miał czapkę, z przodu której naszyto urzędową plaketkę. Imelda stała za daleko, by dojrzeć napis na plaketce, ale domyśliła się, że ma coś wspólnego z koleją. Na pewno nie był to policjant. Tych rozpoznawała od razu.

Mężczyzna głośno odchrząknął, przyglądał gęste wąsy i powiedział:

– Szanowni Państwo! Jestem Naczelnikiem Stacji. – Ton jego głosu nie miał zbawionego efektu na samopoczucie Imeldy. Był oficjalny i arogancki. Miała już z takimi ludźmi nieraz do czynienia i szczerze ich wszystkich nienawidziła. – Proszę iść za mną, spokojnie i bez przepychanek. Proszę się trzymać blisko i nie oddalać.

– Co się dzieje? – zawołał ktoś z tłumu. – Gdzie my jesteśmy?

– Wszystko w swoim czasie – odparł Naczelnik Stacji, po czym odwrócił się sztywno na pięcie i pomaszerował w stronę drzwi z napisem „Wyjście”.

– Proszę przechodzić – zaordynował. – Nie mam zamiaru spędzić tu całego dnia.

Po tłumie rozeszło się ciche mamrotanie. W końcu jednak poczęto powoli iść za Naczelnikiem do drzwi. Imelda trzymała się końca kolejki i zaczekała, aż większość tłumu przedostanie się przez przejście, zanim sama skierowała się w tamtą stronę.

Pierwszy okrzyk przerażenia usłyszała już przy samych drzwiach. Próbowwała się wycofać, ale ludzie z tyłu napierali, popychając ją przed siebie.

– Zostawcie mnie – warknęła. – Przestańcie mnie pchać!

Zagłuszyły ją kolejne okrzyki dochodzące z przodu kolejki. Przetoczyła się przez drzwi, przez cały czas gorączkowo rozglądając się za innym wyjściem, szukając sposobu, by uciec przed tym, co spotykało jej współpasażerów.

Dopiero gdy została wepchnięta w środek rozwrzeszczanego tłumu, zorientowała się, że były to okrzyki zachwyty, a nie strachu. Kilkadzieściat – a właściwie kilkaset – osób kłębiło się za rzędem błyszczących metalowych bramek. Kobiety i mężczyźni w każdym wieku i każdej rasy stali ściśnięci, uśmiechając się szeroko i radośnie witając pasażerów napływających z peronu.

– Mamo? – zakrzyknęła kobieta w średnim wieku, stojąca po drugiej stronie bramek.

Usłyszawszy głos córki, starsza pani stojąca obok Imeldy natychmiast odwróciła głowę.

– B-Becca? – wydała stłumiony okrzyk. Jej ręka podniosła się do ust, a oczy spływały łzami.

Imelda zrobiła miejsce, by kobieta mogła przejść, ale Naczelnik Stacji zagroził jej drogę podniesioną ręką.

– Jeszcze nie teraz – powiedział, zatrzymując kobietę w pół kroku. Pownownie przyglądał wąsy, po czym dodał:

– To jest stacja sześćdziesiąt dwa. Za tymi bramkami ktoś na was czeka. Niektórych być może znacie, innych nie. Ci, których nie znacie, będą mieli tabliczki. Jeśli zobaczycie swoje imię na tabliczce, podejście do tej osoby, a ona się wami zajmie, dopóki sami nie będziecie w stanie się o siebie zatroszczyć.

Naczelnik kontynuował przemowę, ale Imelda przestała słuchać. Lustrowała oczami oczekujący tłum w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy, ale bez skutku.

Część czekających trzymała w rękach tabliczki. W milczeniu odczytała wypisane ręcznie imiona i nazwiska. Ameena Ahmed. Maggie Cooper. Yan-Yan Chow. I wiele, wiele innych. Ale żadnej Imeldy Brown.

– No dobrze – burknął Naczelnik i w końcu zszedł im z drogi. – Proszę, by wszyscy przeszli przez bramki.

Duża część tłumy ruszyła naprzód niczym wzburzona fala. Ludzie wymachiwali rękoma, wykrzykiwali w stronę oczekujących i potykali się o siebie nawzajem, próbując przecisnąć się przez bramki.

Imelda patrzyła na nich. Obserwowała, jak się przytulają, całują, jak podają sobie ręce. Słyszała, jak się śmieją, rozmawiają i płaczą. I przez chwilę zapragnęła stać się tego częścią.

Ale nie była. I już.

Po jej stronie bramek zostało już tylko niecałe dwadzieścia osób. Kolejno dostrzegały swoje nazwiska. Każda z nich po kolei podchodziła do osoby trzymającej odpowiednią tabliczkę. Wymieniano uprzejmie uśmiechy i udzielano instrukcji. Zadawano pytania i udzielano odpowiedzi, których Imelda nie mogła dosłyszeć z miejsca, gdzie stała.

Stopniowo pasażerowie wraz z nowymi towarzyszami rozeszli się. Imelda uparcie nie ruszała się z miejsca, obserwując pozostałych, aż została zupełnie sama.

– No dobra – wymamrotała, chociaż sama do końca nie była pewna, po co. Nadeła policzki i potrząsnęła głową. – No dobra.

– Co tu jeszcze robisz? – Naczelnik Stacji zażądał odpowiedzi.

Imelda aż podskoczyła. Zupełnie zapomniała o jego obecności.

– Yyy... Dzień dobry. Nie wiem, dokąd...

Mężczyzna machnął kciukiem w kierunku biurka, stojącego daleko pod ścianą.

– „Nieodebrane dziewczynki” – warknął.

– Co takiego? – wykrztusiła Imelda, mrugając powiekami.

– Głucha jesteś? „Nieodebrane dziewczynki”. Idź – powiedział. – Tam. No już.



Imelda poczuła, jak jej pięść się zaciska. Pokusa, żeby wymierzyć Naczelnikowi piączę prosto w jego chmurną twarz, była wielka, ale zdawała sobie sprawę, że uderzenie kogoś w mundurze nie jest dobrym pomysłem. W każdym razie nie z przodu.

Zagryzła wargę i przeszła przez najbliższą bramkę. Budynek stacji był w środku równie imponujący co na zewnątrz – była to ogromna konstrukcja, przypominająca wnętrze katedry, gigantyczne kolumny wspinały się od podłogi aż po samą kopułę sklepienia. Kiedy podchodziła do biurka, stukot jej butów o wypolerowaną posadzkę odbijał się echem przez całą opustoszałą stację. Samo biurko stanowiło marny, samodzielnie zmontowany mebel, poplamiony kawą i niebieskim długopisem – najwyraźniej wstawiony tu w ostatniej chwili i niewpisujący się w majestatyczny wystrój stacji.

Za biurkiem niedbale rozsiadła się pulchna, rudowłosa kobieta z papierosem dyndającym w ustach. Gdy Imelda podchodziła do biurka, strzępek popiołu odłamał się od papierosa i zniknął w imponującym dekolcie kobiety, czego ta w ogóle nie zauważyła i czym najwyraźniej wcale się nie przejęła.

– Słucham? – zapytała.

– Dzień dobry – zaczęła Imelda. – Czy to dział... „Nieodebrane dziewczynki”?

Kobieta wyjęła papierosa z ust, wydmuchnęła kółko dymu i wciągnęła z powrotem powietrze przez nos. Postukała w małą drewnianą tabliczkę na biurku.

– Tak tu jest napisane.

Oczy Imeldy drgnęły.

– Rzeczywiście. – Przyglądała się, jak kobieta znowu głęboko zaciągnęła się papierosem. – Kiedyś to panią zabije. Wie pani o tym?

Twarz kobiety nie zmieniła wyrazu.

– Śmieszne – mruknęła. – Czego ode mnie chcesz?

Imelda nachyliła się nad biurkiem.

– Odpowiedzi – powiedziała. – Na przykład, gdzie jestem. I jak tu się znalazłam.

Podniosła drewnianą tabliczkę z napisem: „Nieodebrane dziewczynki”.

– I co to znaczy?

Przez biurko przeleciała kartka papieru. Imelda przyjrzała się drukowi.

– Co to jest?

– Formularz rejestracji B7784 – odparła kobieta, gasząc jednego papierosa i zapalając następnego. – Wypełnij go.

Imelda zmierzyła wzrokiem dokument. Był to kwestionariusz. Nazwisko. Data urodzenia. Stan cywilny. To, co zawsze. Czwarte pytanie jednak znacznie się wyróżniało. Musiała przeczytać je trzy razy, żeby upewnić się, że się nie pomyliła.

– O co chodzi w tym pytaniu? – zapytała, wskazując je palcem.

Kobieta nawet tam nie spojrzała.

– Wydaje mi się, że jest jasno sformułowane.

– No tak, ale... Czy to jakiś żart?

– A czy ja się z czegoś śmieję?

Imelda ponownie spojrzała na kartkę. Jeszcze raz przeczytała pytanie. Rzeczywiście było proste. Tylko dwa słowa. Przeczytała je po raz kolejny, tym razem na głos.

– Przyczyna śmierci?

Kobieta za biurkiem ostentacyjnie westchnęła.

– Posłuchaj – zaproponowała. – Ułatwię ci sprawę. Ile masz lat?

– Co? – zapytała Imelda, oderwawszy wzrok od formularza. – Piętnaście.

– Za młoda dla Ratched, za duża dla Nessie – wymamrotała kobieta. – Zęby. Imelda uniosła brwi.

– Zęby?

– Pokaż zęby. – Kobieta kilka razy stuknęła szczęką, żeby zademonstrować, o co jej chodzi.

Zaskoczona Imelda wykrzywiła twarz, odsłaniając zęby i dziąsła.

– Bywały gorsze, ale Hawthorne cię nie weźmie.

Hałas za plecami sprawił, że Imelda się odwróciła. Kolejna grupa ludzi wysypała się na stację. Tłum ruszył do bramek i z niecierpliwością oczekiwał, aż drzwi na peronie się otworzą.

– Nie mam na to czasu. Kobieta westchnęła. Odsunęła na bok przepelnioną papierosnicę, odsłaniając mały interkom wbudowany w biurko. Gdy nacisnęła guzik, rozległ się głośny dzwonek. – Spróbujemy Windsome. Wiekowo mniej więcej się nadajesz.

– Nadaję do czego? – zapytała Imelda.

– Halo? – rozległ się kobiecy głos w interkomie. – Panna Windsome przy telefonie.

– Tak, dzień dobry, Panno Windsome. Tu Jane z biura. Mamy jedną dla pani.

– Naprawdę? Dziękuję, Jane. – ucieszył się głos. – Za chwilę tam będę.

Klik. Jane puściła guzik interkomu i opadła na oparcie krzesła.

– Zaraz po ciebie przyjdzie. Usiądź sobie.

– Kto zaraz po mnie przyjdzie? – chciała wiedzieć Imelda. – Co się dzieje?

– Usiądź sobie – powtórzyła Jane.

Imelda uderzyła dłońmi w biurko.

– Jeśli pani zaraz nie powie mi, co się tu do diaska dzieje, przysięgam, że zmuszę panią do zjedzenia tego peta.

– Witaj, kochana – zawołał głos dokładnie za jej plecami.

Imelda odwróciła się i znalazła się twarzą w twarz z siwą kobietą ubraną w wielgaśną, imponującą suknię. Cała była błyszcząca, satynowa i rozkloszowana w talii niczym gigantyczna lampa. Wyglądu dopełniał kwiecisty czeppek.

– Chryste – wycedziła Imelda, mierząc kobietę wzrokiem od góry do dołu.

– Nie wiedziałam, że to bal przebierańców.

– Jestem Panna Windsome – oznajmiła kobieta, ignorując drwiny. – Dyrektorka Szkoły Dla Nieodebranych Dziewcząt Panny Windsome. Podejrzewam, że masz wiele pytań.

– Taaa – zgodziła się Imelda. – Pierwsze z nich to: gdzie ja jestem?

– Nie żyjesz. Obawiam się, że umarłaś. – Panna Windsome uśmiechnęła się przeproszająco. – Przykro mi.

Imelda nie próbowała oponować. Nie było po co. Z jakiegoś powodu wiedziała, że kobieta mówi prawdę.

– Ja... ja...

W jej żołądku utworzyła się bańka, która podeszła jej do gardła, zanim zdążyła się zorientować, i lada chwila miała wybuchnąć krzykiem paniki, ale udało jej się ją połknąć i trochę się otrząsnąć. Panika do niczego nie prowadziła. Dawno temu nauczyła się, że nikt nie przychodzi z pomocą na jej krzyki.

Skończyło się. Jej życie się skończyło. Musi to po prostu zaakceptować i ruszyć dalej.

– No dobra, nie żyję. – Skierowała kciuk w kierunku Jane. – Z wyglądu tamtej facjaty wnioskuję, że nie jestem w niebie.

– Słyszałam to.

Panna Windsome potrząsnęła głową.

– Nie, nie w niebie, ale... też nie w tym drugim miejscu. Okazało się, że trochę się pomyliliśmy w tej sprawie. To jest jedyne miejsce.

– Stacja?

– Miasto.

Imelda spojrzała na główne wejście.

– Miasto?

– Miasto Umarłych – wyjaśniła Panna Windsome, po czym odchrząknęła nieśmiało. – W jaki sposób?... Jeśli mogę zapytać... – urwała, próbując dobrać słowa. – Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

– Zimno – wyszeptała Imelda. Przypomniała sobie, jak mróz szczypie ją w palce u rąk i nóg, zmrożony pocałunek betonowego stopnia, na którym siedziała, niekontrolowane dreszcze, które nią wstrząsały, podczas gdy śnieg nie przestawał padać, zasypując ją swoim całunem. – Było mi zimno. Leżałam w śniegu.

– Leżałaś w śniegu? Na zewnątrz? Dlaczego?

– Nie miałam, gdzie iść.

– Dlaczego do jasnej ciasnej nie poszłaś do domu?

Imelda zauważyła, że jej oddech zamienia się w mgłę, a po policzkach ciekną jej mokre strużki. Podniosła szybko rękę i otarła łzę zewnętrzną stroną dłoni. Nie zrobiła tego jednak wystarczająco szybko.

– Och! – zawołała Panna Windsome, przerywanym głosem. – Och, moje biedactwo!

Imelda nie kryła oburzenia.

– Niech pani tak nie mówi! – warknęła. – Niech mnie pani tak nie nazywa!

– Ale przecież tak właśnie jest – nalegała Panna Windsome. – To straszne. Ty moje biedactwo.

– Proszę przestać. Nie jestem żadnym biedactwem. Ani niczym innym godnym pożałowania. Kiedy wy wszyscy wbijecie to sobie do tych swoich pustych łepetyn?

Panna Windsome mrugnęła powiekami.

– My wszyscy?

– Dobrze ciocie – ucięła Imelda. – Wtrącałscy. Pracownicy opieki społecznej. I cała reszta. Wszyscy jesteście tacy sami. Każdy tylko biadoli. „Biedactwo, musi być przerażona” albo „biedactwo, czy to nie straszne?”. Mówicie o mnie, jakbym potrzebowała waszego współczucia.

Wzięła głęboki oddech, wstrzymała powietrze i wypuściła z powrotem. Kiedy znowu się odezwała, jej głos był już mniej szorstki.

– Nie potrzebuję współczucia.

Panna Windsome skinęła głową.

– Jak chcesz – powiedziała. – Ale na zewnątrz, za drzwiami tej stacji, są wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek umarli. Wiktorianie. Rzymianie. Aztecy. Współcześni, jak ty. Wszyscy.

– Wszyscy? To musiałyby być setki bilionów ludzi.

– Cóż – powiedziała Panna Windsome, wygładzając przód sukienki. – Nie wiem, ile dokładnie. Ale wiem, że w mojej szkole będziesz z dala od wielu niebezpieczeństw, które czyhają na ulicach.

Kobieta podeszła bliżej.

– Nakarmimy cię. Wykształcimy. Dostaniesz lepsze ubranie niż te łachmany, które masz na sobie.

Imelda przyjrzała się swojemu strojowi. Jej ciężkie buty i ciemne, brudne dżinsy stanowiły mocny kontrast z ubiorem dyrektorki.

– Co jest nie tak z moimi ciuchami?

Jane parsknęła zza biurka, po czym zapaliła następnego papierosa.

– Poznasz inne dziewczynki – ciągnęła Windsome. – W twoim wieku. Może się z kimś zaprzyjaźnisz.

– Potrafię sama o siebie zadbać – stwierdziła Imelda.

Pani dyrektor gestem wskazała na otoczenie.

– To chyba nie najlepsze sformułowanie, zważywszy na okoliczności, co?

Imelda nie odpowiedziała. Dochodziły do niej teraz dźwięki z zewnątrz. Silniki samochodów. Głosy. Miejskie hałasy.

Panna Windsome wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się serdecznie. Imelda spojrzała na wyciągniętą rękę i poczuła, jak jej własna dłoń drgnęła w odpowiedzi. Jej wzrok spotkał oczy dyrektorki.

– Naprawdę mogłabym to wszystko dostać? – zapytała. – Wszystkie te rzeczy?

Panna Windsome przytaknęła.

– Wyżywienie, ubrania, edukację, towarzystwo. To wszystko może być twoje. – Nieznacznie wzruszyła ramionami. – Szczerze mówiąc, nie do końca spełniasz wymagania na uczennicę Windsome, ale możemy zrobić wyjątek.

Dłoń Imeldy rozluźniła się.

– Dlaczego mielibyście robić wyjątek?

– Cóż, w tych okolicznościach...

– Jakich okolicznościach?

– No wiesz – zaczęła Panna Windsome – zważywszy, że takie...

Imelda skończyła zdanie za nią, tym razem nie było w jej tonie mroźnej nuty.

– Ze mnie biedactwo. Jasne.

– Nie o to mi chodziło.

– Właśnie, że o to.

Odwróciła się plecami do dyrektorki i spojrzała w stronę głównego wejścia. Za nimi rozciągało się miasto.

– Nie żyję – powiedziała – naprawdę nie żyję.

Panna Windsome pokiwała głową.

– Naprawdę. Mamy psychologów, którzy pomogą ci się z tym pogodzić.

– Nie ma po co – oznajmiła Imelda. Wyrzała przez okno na wspaniałe błękitne niebo. Zanosilo się na lepszą pogodę niż śnieg. I cieplejszą. – Chyba już sama sobie poradziłam.

Miasto. Może nie jej własne, ale jednak miasto. Zrobiła krok w stronę wyjścia.

– Co robisz? – zakrzyknęła zdumiona Panna Windsome. – Tam jest niebezpiecznie. Pełno tam... Pełno... Wikingów!

Imelda zatrzymała się w pół kroku.

– Wikingów? Takich prawdziwych Wikingów z krwi i kości?

– Tak! Prawdziwych Wikingów!

– Super.

Panna Windsome potrząsnęła głową.

– Nie! Oni są niebezpieczni. Całe miasto jest niebezpieczne. To nie miejsce dla samotnej dziewczynki.

Imelda uśmiechnęła się. To był jej pierwszy prawdziwy uśmiech, odkąd pamiętała.

– E tam – powiedziała – przecież i tak nie żyję. Co gorszego może mi się przytrafić?

Czując w sobie więcej życia niż kiedykolwiek wcześniej, Imelda Brown przebiegła przez stację obok czekającego tłumu i otworzyła drzwi. Ciepłe promienie słońca łaskotały ją w twarz, kiedy wślizgnęła się w zgiełk Miasta Umarłych.

Wciąż nieodebrana.

*Surtsey* Douga Johnstone'a jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Surtsey* by Doug Johnstone is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).



Doug Johnstone

# Surtsey

przełożył Cezary Zieliński

Podniosła garść czarnego piasku i przesiała go przez ściśnięte palce.

Gdy usłyszała charkot, odwróciła się. Wciąż leżał przy niej, nie poruszył się. Jego klatka piersiowa unosiła się nieznacznie, powietrze uciekało z rany w szyi ze słabym świstem. Krew wsiąknęła w piasek, który lśnił teraz jak ropa naftowa. Jeszcze raz chrapliwie zaczerpnął powietrza, zanim jego ciało legło bezwładnie.

Promienie słońca oświetlały wulkaniczne kratery, które stały na straży wyspy niczym pradawni giganci. Pragnęła, by te szczyty rozerwała erupcja wulkanu, wyrzucająca popiół i lawę w powietrze, jak w nieodległej przeszłości, kiedy wyspa wyłoniła się z oceanu.

Wstała i wyciągnęła pękniętą butelkę z rany w jego piersi. Ustąpiła z młaśnięciem. Przeszła nad ciałem i podeszła do brzegu. Przez poranną mgłę dostrzegła wyspę Heimaey, przypominającą zaciśniętą pięść. Festiwal pewnie wciąż trwał tam w najlepsze. Wzięła zamach i rzuciła butelkę najdalej, jak potrafiła. Ta zatoczyła kilka obrotów w powietrzu i z cichym pluskiem zanurzyła się w ciemnych wodach Atlantyku.

Obróciła się i rozejrzała dookoła. Poszarpane klify, ciemna plaża, kratery i szczeliny – cała wyspa w kształcie łzy była tak mała, że można ją było obejść w niespełna godzinę.

– Więc tak wygląda dom – pomyślała.

- Nazwisko?
- Mackenzie.
- Imię?
- Surtsey. Pisze się s, u, r...
- Jak wyspa, tak?

Wyglądała na zaskoczoną, pokiwała jednak głową.

- Tak, jak wyspa.
- Paszport, proszę.

Podawała nieużywany dokument, w idealnym stanie.

- Ile sztuk bagażu rejestrowanego?
- Nie mam żadnego.

Dziewczyna z obsługi lotniska spojrzała na pusty pas transmisyjny. Miała prostą urodę, silne dłonie i oczy jak szkiełka wyrzucone przez morze. Akcent też przyjemny, chropowaty, melodia jej głosu wznosiła się i opadała. Właśnie lustrowała Surtsey w poszukiwaniu bagażu podręcznego.

- To taka spontaniczna wycieczka – powiedziała Surtsey, odbierając paszport.

Dziewczyna z lotniska nie była od niej dużo starsza, miała może dwadzieścia lat. Wyglądała jednak, jakby wiedziała, co chce zrobić ze swoim życiem. Na jej plakietce z imieniem widniało „Rán”. Surtsey zastanawiała się, jak wymówić tę samogłoskę.

- Życzę miłego pobytu w Islandii, pani Mackenzie.
- Dziękuję, Ran.
- Tak właściwie to wymawia się „Roun”.
- Przepraszam, Rán.
- Nie ma sprawy, jestem do tego przyzwyczajona.
- Tak, wiem, co masz na myśli.

\*

W barze uważnie oglądała wystawę alkoholi.

- Co ci podać, kochana?
  - Co pija się w Islandii?
- Barman wzruszył szerokimi ramionami.
- Nie mam pojęcia.

– W takim razie nalej mi finlandii, będzie musiało starczyć.

Zaczął nalewać.

– Po prostu zostaw butelkę.

Bogart zawsze tak mówił w starych filmach, które lubiła jej mama. Poczowała skurcz w żołądku. Pomachała kartą kredytową mamy barmanowi. Przyniósł butelkę i szklanę. Wypiła jednym łykiem, wzdrygnęła się. Ponownie napełniła szklanę.

Obserwowała pas startowy i zastanawiała się, ilu obcych sobie ludzi przewinie się dzisiaj przez lotnisko.

\*

– Po prostu ją weź.

– Mamo...

– Już jej nie potrzebuję.

Wzięła kartę Visa od mamy. Nie mogła przestać patrzeć na fioletowe i żółte wykwyty na jej dłoniach w miejscach, gdzie igła od kroplówki przebiła skórę. Schowała kartę do kieszeni.

– Musisz bardziej o siebie dbać.

– Przestań...

– Mówię poważnie, Sur. Musisz zacząć myśleć o...

– Ale nie chcę, dobrze?

– Proszę, musisz być bardziej praktyczna.

– Nie mów takich rzeczy.

Mama Surtsey odchyliła się do tyłu i, z trudem łapiąc oddech, sięgnęła po maskę. Przycisnęła ją do ust i zamknęła oczy, oddychając chrapliwie. Ważyła niecałe czterdzieści kilogramów, skóra praktycznie z niej zwisała, agresywny nowotwór i kolejne operacje mocno nadszarpane jej żołądek i jelita.

Jej stan pogorszył się błyskawicznie. Ból w podbrzuszu, wymiotowanie krwią, badania, chemioterapia i operacja – wszystko w ciągu miesiąca. A teraz to. Przykuta do łóżka, nieustannie obserwowała zegar, z trudem zachowując minimalny komfort życia i godność.

Zdjęła maskę, z kącika jej ust ciekła żółć.

– Idź już. Nie chcę, żebyś oglądała mnie w takim stanie.

- Nie bądź śmieszna.
  - Obiecaj mi, że będziesz o siebie dbać.
- Surtsey nie odpowiedziała.
- Obiecaj mi.

\*

- Dokąd jedziemy?

Podawała adres. Dziesięć minut później byli już na miejscu. Spojrzała na drzwi wejściowe. Ostatnie dwa tygodnie mieszkała tam sama.

- Proszę tu poczekać.

Podbiegła do drzwi, otworzyła je po krótkiej walce z kluczami i wpadła na górę po schodach. Przetrzęsła swoje biurko, złapała paszport i wybiegła z mieszkania.

- Na lotnisko proszę.
- Wakacje na ostatnią chwilę? - z uśmiechem zapytał kierowca.
- Tak jakby.
- Jakieś słoneczne miejsce?
- Nie.

\*

- Szanowni państwo, zbliżamy się do celu. Wylądujemy w Keflaviku za około dziesięć minut.

Wyjrzała przez okno. Cienka linia asfaltowej drogi wiła się pomiędzy ostrymi skałami. Zielone fale z impetem rozbijały się o wybrzeże. Ośnieżone szczyty i kolumny białego dymu na horyzoncie. Gdy samolot zatoczył koło i podszedł do lądowania, poczuła, że coś wewnątrz niej twardnieje.

\*

- Jak masz na imię?

Odwróciła się. Był całkiem niezły, spod brody widać było lekki uśmiech. Szczupły, alternatywnie ubrany, kompletnie niegroźny.

- Surtsey.
- Jak ta wyspa? Wybacz, pewnie wszyscy ci to mówią.
- Właściwie to jesteś dopiero drugi.

Przechylił głowę.

- Skąd jesteś?

- Nie stąd.

Wyciągnął rękę.

- Cześć, Surtsey, jestem Snorri.

Spojrzała na jego dłoń. Miał delikatne, kobiece palce. Przyjęła ją. Jego chwyt był zaskakująco silny.

- Cześć, Snorri. Napijesz się ze mną?

Wskazał kciukiem siedzącą za nim grupę śmiejących się chłopaków i dziewczyn, wszyscy mieli wysokie kości policzkowe i wełniane swetry.

- Jestem tu z przyjaciółmi, może się do nas dosiędziesz?

Przenieśli się z Brennslan do Kaffibarinn, z Kaffibarinn do Sirkus, a potem wieczór stracił ostrość i zlał się w jedno. Wyblakłe światło dnia o północy przyprawiało ją o zawroty głowy. I to się jej podobało. Pozwalała, by spływał po niej barwny monolog Snorriego, gdy ona pochłaniała wzrokiem szare fasady budynków, wdychała orzeźwiające powietrze, słuchała ich śpiewnych i szorstkich akcentów.

Ogródek piwny był otoczony ścianami z betonu, na których namalowano palmy.

- Kręcili tutaj teledysk Björk - powiedziała Katrin. Przyjaciółka Snorriego, nie jego dziewczyna. Była wysoka, solidnie zbudowana. Miała lekko szpiczaste uszy.

Surtsey rozejrzała się. Otaczał ją tłum młodych, pięknych i pijanych z Rejkiawiku.

- Lubisz islandzką muzykę? - zapytała Katrin.

- W sumie nie znam żadnej.

- Więc nie przyjechałaś tutaj na Þjóhátíð?

- Na co?

- Þjóhátíð. Festiwal muzyczny. Na wyspie Heimaey w archipelagu Vestmannaeyjar, na południowym wybrzeżu Islandii.

Surtsey rozszerzyła oczy.

– Właśnie tam jest wyspa Surtsey, prawda?

– Twoja imienniczka, tak. Musisz pojechać z nami na festiwal. To najlepsza impreza w roku.

– Będziemy mogli odwiedzić Surtsey?

– To nielegalne, tylko naukowcy mogą. Ta wyspa jest na liście UNESCO.

– Wiem, ale zastanawiam się, czy możemy to zrobić po cichu.

Katrin roześmiała się.

– Zapytaj Gunnara. – Wskazała przysadzistego chłopaka w czapce z pomponem i pomarańczowych okularach, który nieudolnie próbował tańczyć shimmy ze Snorrim. – Płyniemy do Heimaey jachtem jego ojca.

– Kiedy?

Katrin machnęła dłonią.

– Jak tylko tutaj skończy się impreza.

\*

Port w Rejkiawiku szybko niknął w oddali, gdy płynęli na południowy wschód. Mknęli po oliwkowozielonych falach, zostawiając za sobą smugę białej piany. Wiatr rozwiewał jej włosy, które wpadały jej do ust. Odgarnęła je ręką.

– To jest dopiero łódź, co nie? – powiedział Gunnar, stojąc przy pulpicie.

– Długa na sześćdziesiąt dwie stopy, waży dwadzieścia pięć ton, a może spokojnie wyciągnąć pięćdziesiąt mil na godzinę. – Stuknęła w wyświetlacz elektroniczny. – Nazywa się Loki.

Katrin wyłoniła się spod pokładu, ściskając w rękę zieloną butelkę z czarną metką. Napis, umieszczony na tle konturów Islandii, głosił „Brennivín”. Podała ją Surtsey, która odkręciła zakrętkę i powąchała zawartość. Płyn do płukania ust i leki.

– Islandzki sznaps – powiedział Gunnar, robiąc gwałtowny zakręt i zmuszając wszystkich do ponownego złapania równowagi.

Katrin pokręciła głową.

– Chłopcy i ich zabawki, no nie? Tatuś Gunnara to jeden z tych bankierów, którzy doprowadzili nasz kraj do upadku. Mimo to wciąż jest milionerem. Nie jest to ulubiony temat Gunnara.

– Mój tata do dupek.

– Dupek, który pożyczył ci jacht na weekend.

– I tak jest dupkiem.

Surtsey napiła się z butelki, skrzywiła się i podała ją Gunnarowi. Wziął kilka dużych łyków na pokaz.

– A więc, jak to się stało, że szkocka piękność została nazwana na cześć islandzkiej wyspy? – zapytał.

\*

Kiedy była dzieckiem, godzinami oglądała mapy i zdjęcia w internecie. Nadano jej imię wyspy, która wynurzyła się z głębin oceanu w latach sześćdziesiątych, w wyniku trwających latami erupcji wulkanicznych. Dziewicza i pusta kraina. Z biegiem czasu pojawiły się na niej niewielkie rośliny, a nawet zwierzęta. Kompletny ekosystem nieskażony przez człowieka. Zaczytywała się w książkach mamy, rozkoszując się słowami takimi jak „materiał piroklastyczny”, „brekcja” czy „tuf bazaltowy”. Godzinami oglądała fotografie burz z piorunami, rzek lawy wulkanicznej, kłębow pary i popiołu unoszących się w kilometrowych słupach do atmosfery.

– Moja mama jest wulkanologiem.

– Słucham?

– Ekspertem od wulkanów.

– A. Była kiedyś na Surtsey?

Skierowała wzrok na ogrom wody, ląd był tylko rozmazanym cieniem w oddali.

– Nie. Nigdy.

Kanonada dudniących bębnow obijała się o krater i wracała pogłosem w stronę sceny. Rytm wstrząsał jej ciałem. Skalną grań znaczyły światła czerwonych flar. Odpalane jedna po drugiej, przypominały ostrzeżenie przekazywane między szczytami starożytnych gór. Ludzie wiwatowali, gdy okrąg ognia zamykał się wokół wulkanu.

Położyła głowę na trawie i spojrzała do góry. Wciąż to samo niepewne, północne światło. Bębnienie ustało, ale mimo to ludzie wciąż śpiewali, jakby znali jakąś tajną piosenkę. Próbowwała wychwycić melodię, rozróżnić słowa, ale dźwięki mijały ją w powietrzu.

- Wszystko w porządku?
- Snorri leżał obok niej.
- Co oni właściwie śpiewają? - zapytała.
- Roześmiał się.
- Naprawdę słabą ludową piosenkę.
- Podparła się na łokciach.
- Jest piękna.
- Patrzył na nią w sposób, który bez problemu rozpoznała.
- Mogę cię pocałować? - zapytał.
- Wzięła łyk brennivina, wytarła ręką usta.
- Jasne.

Patrzyła na dach namiotu. Czerwona, nylonowa membrana oddzielała ją od świata. Okrążyła palcem swój sutek, nie stwardniał. Snorri spał obok z rozchyłonymi ustami.

Zadzwoniła jej komórka, odzywając się dźwiękiem starego telefonu. Przeszukała stertę ubrań, wyciągnęła ją i odebrała.

- Halo? - powiedziała.
- Nie знаła głosu osoby po drugiej stronie.
- Tak, to ja.

Jej rozmówczyni miała profesjonalny, zrezygnowany ton. Kobieta w średnim wieku, która była już zmęczona przekazywaniem złych wiadomości.

- Rozumiem. - Surtsey nie wiedziała, co więcej mogłaby powiedzieć.

Głos po drugiej stronie słuchawki rozbrzmiewał wciąż i wciąż, biegnąc między dwoma krajami na północy, drżąc na wietrze. Surtsey czekała, aż kobiecie skończą się słowa.

- Cóż, dziękuję za informację.

Zakończyła rozmowę i spojrzała na Snorriego. Słodki chłopiec. Ubrała się i wyszła z namiotu.

\*

- Chcesz płynąć na Surtsey teraz? - Gunnar zapytał ze śmiechem, nie przerywając tańca. Gdzieś w oddali pulsowało europejskie rave.



– Dlaczego nie? – zapytała Surtsey.

– Bo to nielegalne.

– Co z tego?

Gunnar wyjrzał za jej plecy.

– A co ze Snorrim i Katrin?

– Oni nie chcą tam płynąć.

– Ja też nie.

– W takim razie pozwól mi wziąć łódź.

– Nie ma szans.

– Jeżeli tego nie zrobisz, ukradnę ją.

– Nie uda ci się jej uruchomić.

– Odpalę ją na kable.

– Nie wiesz, jak to zrobić.

– Ale próbując, narobię masę kosztownych szkód, czyż nie?

Przestał tańczyć i spojrzął na nią uważnie. Potem przebiegł wzrokiem po otaczającym ich pijackim szaleństwie.

– Co będę z tego miał?

– Będę twoim przyjacielem na zawsze.

Obejrzał ją od góry do dołu.

– Może być.

Słońce schowało się już za horyzontem, ale wyblakłe światło wciąż unosiło się w powietrzu. Widziała już wzniesienia na Surtsey, byli blisko. Każda podróż zabierała ją dalej od siebie samej.

\*

Zatkała nos i przeskoczyła przez reling. Zimno pozbawiło ją tchu, klatka piersiowa drżała, domagając się powietrza. Kiedy jej głowa przebiła powierzchnię, zachłysnęła się lodowatą wodą. Zaczęła płynąć w kierunku wyspy, rozbryzgując wodę.

Poczuła piasek pod stopami, zaczęła więc iść w kierunku brzegu, nieustannie walcząc z prądem. Czuła uderzenia lodowatych fal na plecach. Drżąc z zimna, parła na przód, z nosa zwisały jej gile.

Gdy dotarła na plażę, cała trzęsła się i pociągała nosem. Gunnar wyszedł z wody i usiadł obok niej. Wyciągnął butelkę brennivina z kieszeni w spodniach, otworzył ją.

– To cię rozgrzeje.

Napili się.

– Co teraz? – zapytał, dotykając dłoni, w której trzymała butelkę.

Odepchnęła jego rękę i rozejrzała się. Piasek zmieszany z popiołem i usiany skałami krajobraz, zdominowany przez dwie strome granie.

– Chodźmy pozwiedzać.

Ruszyli na niespieszny spacer wzdłuż wybrzeża. Wspięli się na jedną z grani, przystanęli nad kraterem. Wzięli po łyku sznapsa i złapali oddech.

Surtsey spojrzała za krawędź.

– Pomyśl tylko, niecałe pięćdziesiąt lat temu nic tu nie było.

Gunnar wzruszył ramionami.

– Muszę się ogrzać – powiedział, spoglądając na nią.

– Więc twój tata to dupek?

Zmrużył oczy.

– Tak.

– A twoja mama?

– Jest całkiem w porządku, tak myślę. Nie jest jakoś szczególnie odlotowa, żaden z niej ekspert od wulkanów.

Surtsey potrząsnęła głową i wstała gwałtownie, otrząsnęła pył z dzinsów.

– Wracajmy na plażę.

Leżała na piasku z zamkniętymi oczami. Słońce unosiło się nad horyzontem, ale wciąż było jej zimno. Czuła jego ręce na swoich ubraniach, zdejmujące warstwę za warstwą. Zapach sznapsa i morskiej wody. Był brutalny, zupełnie inny niż Snorri. Siłą rozchylił jej kolana i wszedł w nią. Z każdym pchnięciem czuła wbijający się w nią zamek od spodni. Przyciskał jeden z jej nadgarstków do ziemi, własnym ciężarem przygniatał brzuch i klatkę piersiową. Myślała o swojej mamie, która nigdy nie dotarła do tego pustego miejsca. Zdawał się stawać coraz cięższy, bardziej gwałtowny. Z trudem oddychała.

– Przestań – wydusiła. – Zejdź ze mnie.

Sama praktycznie tego nie usłyszała. Nie przestał.

– Przestań.

Próbowała odepchnąć go wolną ręką, ale był zbyt ciężki. Po omacku zaczęła przeszukiwać ziemię wokół siebie, aż jej palce dotknęły butelki. Drżącymi palcami złapała szyjkę, objęła ją, i z całej siły uderzyła go w tył głowy. Spadł na nich deszcz odłamków szkła. Odchylił się do tyłu, gdy wbiła w niego rozbitą butelkę, wciskając ją w ranę z całej siły, aż poczuła spadający z niej straszliwy ciężar.

Zawróciła łódź i spojrzała za siebie. Wiedziała, że wulkany na wyspie były uśpione, ale przez chwilę zdawało się jej, że widziała niewielką smugę dymu wydobywającą się z jednego z kraterów.

Oddalała się od plaży. Z oddali wyspa wyglądała jak jedna z wielu wulkanicznych skał, odpoczywająca po wynurzeniu się z gorejących płomieni jądra ziemi.

Nacisnęła gaz i łódź ruszyła do przodu. Skierowała ją na kurs z dala od wszystkiego i wypłynęła na otwarte wody.

*Inny kraj* Margo Lanagan jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Another Country* by Margo Lanagan is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Margo Lanagan

# Inny kraj

przełożył Mikołaj Pękala

– Mogłabyś zabrać mnie dzisiaj do Anny?

Stoi w drzwiach do kuchni, a jego spojrzenie mówi: „Nie żeby mi jakoś specjalnie zależało, czy coś”. Teraz wszyscy chłopcy noszą te okropne fryzury, wyglądają, jakby dopiero co wrócili z porywistej wichury i jeszcze nie zdążyli doprowadzić się do porządku.

– Jeśli chcesz. – Wstyd mi, że mówię to takim słabym głosem.

– Dzięki, mamuś! – ryczy głośno i radośnie, tak że teraz już nie mogę się wycofać. Odwraca się na pięcie i idzie do swojego pokoju.

Artyleria jest dzisiaj bardzo głośna, ze wschodu dochodzą nieustanne grzmoty, nie dając chwili wytchnienia. Gdybym nie wiedziała, co się dzieje, mógłby to być uspokajający dźwięk, niczym dochodzący z piersi chrapiącego psa czy nawet chrapiącego męża. Można go pomylić z odgłosami ruchu drogowego, ogromnej autostrady wypełnionej toczącymi się w tę i we w tę pojazdami, które chłopcy nazywali kiedyś „monster truckami”; zmieniające się biegi, strzelające hamulce pneumatyczne, silniki piłowane dla samej satysfakcji. Teraz już nie wiedziałabym, co ze sobą zrobić bez tego hałasu, towarzyszy mi nieustannie już od tak dawna. Gdyby ucichł, zacząłabym się martwić. Zrobiłabym się nerwowa. „Co oni znowu wymyślili”, zastanawiałabym się. „Co teraz mają dla nas w zanadrzu? Zbierają siły? Gdzie zaczną tym razem?”

Śpiewa w swoim pokoju, przekopując bałagan, by znaleźć to, co tam jest mu nagle potrzebne. Wtóruje małemu przenośnemu radiu, teraz, kiedy pała sieć. Jest okropna, ta podziemna stacja, której słucha – sama agresywna

muzyka, a spikerzy ledwo potrafią sklecić zdanie. Ale sam fakt, że nadal gra w tym chaosie na pół istniejącego miasta... Jeżeli jeszcze kiedykolwiek poczuję coś zbliżonego do nadziei, to dzięki takim właśnie rzeczom, dzieciakom, które – napędzane jakąś pierwotną energią, której ja najwidoczniej nie jestem już w stanie z siebie wykrzesać – po prostu nie ustają w podążaniu do celu. Już sam fakt, że ma ją cel. Jak im się to udaje? Jeżeli o mnie chodzi, to ograniczam się do zdobywania pożywienia i utrzymywania dachu nad głową, do dbania o naszą czysto fizyczną egzystencję; to zabiera ze mnie wystarczająco. Patrzę na swojego syna i mam ochotę go przeprosić, że wydałam go na taki, a nie inny świat, w takim, a nie innym miejscu i czasie. Nie robię tego, oczywiście, nic mu nie mówię, ponieważ on tak naprawdę nie ma pojęcia, że życie nie zawsze tak wyglądało; przechodził nad gruzami, plamami krwi i odłamkami szkła całe swoje życie; usypiał przy dźwiękach wystrzałów i budził się przy nich rano.

– Mamo, masz jakieś pieniądze?

Oglądam go od stóp do głów.

– To jakiś bal przebierańców?

– Tak jakby. – Wzrusza ramionami i patrzy na mnie, czekając na odpowiedź.

– Trochę – mówię. – Tylko nie stawiaj kolejek wszystkim dookoła. – To taki nasz żart, jest jeszcze za młody, by móc pić alkohol. Ale z drugiej strony, jaki bar będzie jeszcze na tyle porządny? Komu jeszcze zależy na tyle, żeby sprawdzić jego wiek?

– To tylko dla mnie. – Uzgodnili tak sobie z Anną, każde płaci za siebie. Transport też ustalili uczciwie, Chas lub Gracy przywożą Annę tutaj tak samo często, jak ja zawożę chłopca do nich.

Wyjmuję parę wytartych banknotów i szperam w portmonetce po drobniaki.

– Tyle wystarczy?

– W porządku. – Zawsze tak mówi; sprawdzam na jego twarzy, czy aby na pewno. Tak jest.

– Dzięki, mamuś. – Patrzy na pieniądze, nie na mnie. Tak to właśnie teraz robimy, kiedy jest już nastolatkiem i jest „cool”. Kocham każdą najmniejszą jego część, każdy brudny paznokieć, każdy kosmyk włosów na jego czole.

Wraca do swojego pokoju. Więcej szperania, więcej dudnienia. Koncentruję się na szorowaniu garnka po owsiance. Teraz muszę to robić w słabym

światle, podczas gdy kiedyś czekałabym na światło dzienne, żeby być pewną, że zrobiłam to dobrze. Ach, te wszystkie rzeczy, które kiedyś miały dla mnie znaczenie! Wygląd ubrań, a nie ich wygoda; opinia ludzi, a nie to, kto z nich jest w stanie uratować mi życie; to, jak sobie zorganizować czas w letni weekend pełen zapachu ogrodu, kiedy miałam wolne od pracy i szkoły. Co ja bym dała za pracę, za cokolwiek, co przypominałoby pracę! Co ja bym dała, by móc każdego rana odprowadzać mojego chłopca do prawdziwej szkoły, w cichym świetle poranka!

Znajduję sobie zajęcie, żeby tylko nie siedzieć i się nie bać. W naszym małym, ciemnym, zagraconym mieszkaniu mogę porządkować rzeczy i przestawiać meble do woli, ale nigdy nie jestem w stanie go do końca wyczyścić. Jakieś małe rzeczy jeszcze jestem w stanie oporządzić: a tu jakiś garneczek, a tu beużyteczna umywalka, a tu wzorzyste blaty szafek. Ale kurz? Nie ma sensu. Powietrze wciąż osiada od nieustających wstrząsów, a brud razem z nim.

– Jesteś gotowa? – Pojawia się znowu, tym razem z torbą. Wtedy roznosi się potężny huk i wszystko się trzęsie. Szklanki w kredensie uderzają o siebie, wydając alarmujący dźwięk.

– No to chodźmy – mówię bez przekonania. Lawiruję między bałaganem i zabieram kluczyki z szuflady.

Schodzimy schodami przeciwpożarowymi, aż do końca, na parking. Odpinam kłódkę z zasuwanych drzwi, a on przytrzymuje je dla mnie, kiedy wyjeżdżam, następnie zamyka je, a ja wychodzę i z powrotem nakładam kłódkę. To najbezpieczniejsza część naszej podróży. Chciałabym, żeby wszystko było na odwrót i żebyśmy właśnie przywiozła nas do domu.

– No dobra. – Przypinamy się pasami. Sama nie wiem dlaczego, ale tak mnie nauczono i tak nauczyłam jego, więc tak robimy.

Jest zmierzch, to zawsze jest zmierzch. Niebo zasłonięte jest niskimi chmurami, pomarańczowymi na wschodzie, gdzie toczą się wszystkie działania. Przez jakiś czas jedziemy w tę stronę. Od ostatniego razu nie pojawiły się żadne nowe niebezpieczeństwa. Omijam krater na rogu Nancy Street z opanowaniem, o jakim nie sądziłam, że jest możliwe, kiedy robiłam to pierwszy raz. „BożeBożeBoże”, powiedziała wówczas Leanne, spoglądając na dziurę przez okno po swojej stronie, podczas gdy ja ocierałam się drugim bokiem

samochodu o ścianę. Potem, upojone uczuciem ulgi, chichotałyśmy dobre dziesięć minut. Leanne. Tak.

– Więc to jakaś impreza?

– Raczej spotkanie.

– Aha – nabieram fałszywej otuchy. – Czyli tylko niektórzy z was będą brali ciężkie dragi.

– Taa, tylko ja, Anna i Felix z Erin. W ten sposób każdy dostanie więcej.

– Nie muszę się o ciebie martwić, prawda? – Spoglądam na niego, omijając wraki samochodów, betonowe bariery i stosy gruzu. To nawet nie jest rozmowa, to rytualne dźwięki, które mają odgonić strach.

Skręcamy i wjeżdżamy w Aleję Snajperów, która w tych dniach stała się dość wesołym miejscem, ze wszystkimi tymi koksownikami i plastikowymi namiotami błyszczącymi na wietrze. Ktoś biegnie przez chwilę obok nas.

– Zabierzcie mnie do Maxiplex! – krzyczy, wałąc w okno. – Chcę iść tańczyć!

Po czym zostaje w tyle. Piękno wychowywania nastoletniego chłopca? Przestajesz się bać nastoletnich chłopców. No, przynajmniej tego rodzaju – niegroźnych młokosów odurzonych odrobiną samogonu.

Prowadzę powoli wzdłuż kanału, udając, że muszę uważać. Tam dalej most tak naprawdę wcale się nie świeci i nie pulsuje – to tylko w mojej głowie. To tylko szary łuk pośród szarości, ponad meandrem kanału zawalonego śmieciami, domu dla kto wie ilu szczurów. Woda jest jasna od odbicia nieba. Niebo przykuwa uwagę, to ono pulsuje światłem wybuchu niszczącego czyjeś sąsiedztwo, czyjś blok mieszkalny, czyjś meczet czy muzeum, czyjaś świetlicę lub bunkier, lub przyczółek dla bezdomnych. Dym odcina się na pomarańczowym tle.

Chłopiec mruczy obok mnie, odrobinę poniżej dźwięku silnika. Dopóki nie ma jakiegoś wielkiego wybuchu, którego wszyscy się boją, to jedyne oznaki zdenerwowania, jakie kiedykolwiek pokazuje: nieruchomieje, przestaje żartować i mruczy.

– W porządku? – Skręcam na most i jego mruczenie ustaje. Mężczyzna w czarnym płaszczu idzie z drugiej strony. Kiedy ja zwalniam, on też zwalnia.

– Widać, że się przygotowuje – mówię.

– Bierze rozbieg – odpowiada chłopiec.



Ale mężczyzna tylko szybko kroczy, nie biegnie. Jego oczy starają się skupić na Catharsis, ale nie ma nic do zobaczenia. Wyraźnie widzimy, kiedy wreszcie na to trafia. Jego twarz blednie i spłaszcza się, jakby uderzył go nagły podmuch wiatru lub fala wody. Jego włosy unoszą się z czoła, a płaszcz i spodnie gwałtownie trzepoczą. Oczy i usta ma zamknięte, jest skoncentrowany, zdeterminowany. Przeciska się na naszą stronę. Jego ciało, włosy i ubranie wracają do normalnego stanu.

– To będzie bardzo nieprzyjemne! – Chłopiec udaje mały napad złości, tupie nogą, uderza pięściami w kolana. – To jest okropne.

Dotykam jego ramienia i zwalniam.

– Jedź, nie zatrzymuj się – mówi. – Miejmy to już za sobą.

– Jesteś pewny? – Po drugiej stronie szare i żółte budynki wyglądają tak samo ponuro jak po naszej, ulice wcale nie są czystsze, nie są też w lepszym stanie. Biorąc pod uwagę jedynie wygląd, mogłoby to być to samo miejsce.

– Ona jest tego warta. – Wpatruje się przed siebie ponad tym, przez co musimy przejechać. – Anna, Anna, Anna.

– Trzymaj się tej myśli, kochany.

\*

Niektórzy muszą przez to przechodzić każdego dnia. Ten mężczyzna był prawdopodobnie jednym z nich – sposób, w jaki nawet nie zwrócił na nas uwagi, jego chłodna, profesjonalna postawa i szybkie dojście do siebie – tylko spójrz, jak teraz przechodzi obok nas, spokojny, jedynie jego czy są lekko wilgotne.

Rzadko kiedy miałam powód, by przejeżdżać na drugą stronę, gdy mój chłopiec był mały. Raz musieliśmy go zabrać do szpitala dziecięcego (Axel był wtedy ze mną); innym razem kolega ze szkoły, który niedawno się tam przeprowadził, zaprosił go na urodziny i nie byłam w stanie mu tego wyperswadować.

Tharsis, tak to kiedyś nazywał. Axel go poprawił, ale chłopiec znów źle usłyszał i przez jakiś czas nazywał to Thukkatharsis; nadal tak nazywał, kiedy Axel i ja rozeszliśmy się. Potem świat odebrał nam Axela na dobre, a to

słowo, to błędne słowo, stało się jednym z ogniw łańcucha pomyłek, które doprowadziły do tej najgorszej z rzeczy, rozpadu naszego małego trio, które utrzymywało życie spokojnym i bezpiecznym. Nigdy mi nie przeszkadzało, że chłopiec mówi Thukkatharsis; nawet to lubiłam. Wydawało mi się, że dobrze oddaje doświadczenie przechodzenia przez to coś. W końcu ktoś w szkole go poprawił, wyśmiewając go przy tym. Wrócił do domu i zarzucił mi, że pozwoliłam mu się upokorzyć. „Wiedziałam, że dojdiesz do prawdy prędzej czy później, kochanie”, powiedziałam mu. Chodził potem odrobinę nadąsany, ale oboje wiedzieliśmy, że są poważniejsze sprawy – zresztą zaraz po tym szkoły zamknięto, więc nie miało znaczenia, co ktokolwiek sobie o nim tam myśli.

A potem poznał Annę. Na początku jeszcze mieliśmy sieć, więc było im łatwiej, rozmawiali przez Skype'a i czatowali. Zadowalali się spotkaniem raz na tydzień – raz na dwa tygodnie dla odwożącego rodzica. Potem internet padł, stara poczciwa poczta nie wystarczała. Wtedy byli już zbyt blisko; musieli w i d y w a ć s i ę częściej. Więc ich zabieraliśmy. Nadal ich zabieramy.

To boli, oczywiście. Boli, jakby było się rozrywaniem na pojedyncze komórki, a potem składaniem z powrotem bardzo szybko, bardzo gwałtownie. Gorsze od bólu są zmiany ciśnienia; nagle dryfuje się w powietrzu, zupełnie bez równowagi – gdzie jest niebo? Czy w ogóle istnieje niebo czy ziemia? A potem jest się zgniatanym ze wszystkich stron, nie można złapać oddechu; to wszystko boli. Ale najgorsze dzieje się w twojej głowie, to, jakby przeciskało się przez lejek, przeżywało rzeczy na nowo; wspomnienia, sny, stare niepokoje, nowe i te, które dopiero nadejdą, zapomniane uniesienia i nadzieje na cud. Wszystko to jest wspaniale kolorowe, rażąco szczegółowe – ale szybkie, zbyt szybkie... i ma ostre krawędzie. Tak jakby jakieś zwierzę starało się w desperackim pośpiechu wydrapać ci mózg.

Ponieważ są młodzi, Anna i chłopiec szybko dochodzą do siebie. Ale ja jestem tylko jedna, nie ma Axela, by podzielić to brzemień albo po wszystkim móc się mu wygadać. Dla mnie cios jest ciosem, za każdym razem. Nigdy nie płacę małej ceny, by ujrzeć moją ukochaną, by jej dotknąć, pospacerować z nią przez chwilę w jakimś niedorzecznym kostiumie razem z naszymi przyjaciółmi z drugiej strony.

\*

Najlepiej jest przez to jakby przeskoczyć, zaraz po tym przyhamować i powoli zjechać z mostu. Most sam w sobie zawsze jest bezpieczny i czysty, nikt nie lubi się kręcić koło tego czegoś.

Tym razem mój chłopiec zniósł to źle; przysunął się do mnie najbliżej, jak się tylko dało bez wchodzenia na moje kolana, drążek zmiany biegów kłuje go w biodro, jedna stopa w jego znoszonych adidasach wylądowała na niedziałającym odtwarzaczu CD. Płacze, płacze w głos na moich udach. Zatrzymuję na chwilę samochód i wycieram oczy, najpierw sobie, potem jemu. Głaszczę go po niedomytej głowie, masuję jego kościsty kark.

– Te buty – mówię czule. – One ledwo istnieją. A czuję je stąd!

– Uwielbiam te buty – mówi i wiem, że dochodzi do siebie.

Śmieję się, drapiąc jego ciepłą czuprynę.

– Więcej w nich dziur jak butów, no spójrz tylko na nie!

Kładzie stopę z powrotem na dywanik, tak aby schować but przede mną, po czym prostuje się i wyciera łzy z oczu, jakby była to tylko irytująca woda. Wymieniamy spojrzenia, bierzemy głębszy oddech, opuszczamy ramiona – jemu wydaje się, że jest po wszystkim. Być może tak właśnie jest, dla niego.

Mieszkanie Anny znajduje się trochę dalej od mostu niż nasze. Jest jakiś festiwal, ulice wypełnione są młodymi ludźmi. Wielu chłopców ubranych jest jak mój syn, w przycięte czarne spodnie i kurtkę ze sztywnym białym kołnierzem. Gdzie oni w tym brudnym świecie znaleźli tak nieskazitelną biel?

– O co w ogóle chodzi? – Grupa młodzieży przechodzi obok nas. – Co świętujecie?

– Chodzi o zespół – odpowiada. – Członkowie tak się ubierają.

– Aha, więc wszyscy idą na stadion? Nie, niemożliwe. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz pozwolono tam na koncert.

– Ludzie po prostu spotykają się, gdzie tylko mogą, Mamo. Żeby uczcić wielki koncert, jaki grają w Nowym Jorku. Każdy robi sobie własny mały koncert.

Przejeżdżamy obok jeszcze kilku grup fanów.

– To musi być popularny zespół.

– Popularny, bo najlepszy. – Czy mój syn zgodziłby się na cokolwiek innego?

Zatrzymuję się przed mieszkaniem Anny. Zanim wychodzi, ściska mnie jednym z tych swoich kościstych jednoręcznych uścisków i całuje w policzek, czuję delikatne drapanie jego chłopięcego zarostu.

– Dziękuję za podwózkę, Mamo – mówi. – Bądź ostrożna przy tym starym Tharsis, kiedy będziesz wracać.

– Nie bój żaby, dam sobie radę – odpowiadam.

Wydostaje się z samochodu. Anna spotyka go na dole schodów, przytulają się, dziewczyna macha do mnie i wprowadza go do środka. Kiedy ich wchodzące po schodach stopy znikają mi z oczu, odjeżdżam. Jadę z powrotem, mijając grupy koncertowiczów i inne niebezpieczeństwa. Na jednym ze skrzyżowań inny samochód nadjeżdża z naprzeciwka i, co śmieszne, wracamy do starych zasad, zjeżdżamy jak najdalej na lewo, on wskazuje prawą rękę i czeka, aż przejadę obok, i przez chwilę znów znajdujemy się w starym świecie pełnym dawnych uprzejmości, prosperującym, łatwym, czystym. Mój chłopiec nigdy nie pozna tego świata, najwyżej to, co mu opowiem – i dlaczego miałabym to robić, skoro i tak nie może go mieć? Jest dla niego dużo lepiej, jeśli radzi sobie z tym dziwnym, zdziczałym tu i teraz, niż gdyby miał tęsknić za tym, czego nie może mieć.

Skrećam na most. Już zaczynam się trochę rozklejać, pozostałe łyżki z ostatniego razu, które wstrzymałam, dopóki chłopiec był ze mną. Hamuję, oddycham i patrzę przez to, czego nie można zobaczyć, na zwyczajność drugiej strony. Chociaż wiem, jak bardzo jest szczęśliwy, nienawidzę mieć tego brutalnego czegoś między nami, tej niewidzialnej przemocy na ludziach, którzy chcą po prostu pójść do pracy lub odwiedzić przyjaciela albo dla odmiany przejść się tą drugą stroną kanału. Pewnego dnia wrzucę poduszkę i koc do bagażnika i kiedy już go odstawię, znajdę sobie ciche miejsce na poboczu i prześpię noc na tylnym siedzeniu. Wielu ludzi śpi teraz w samochodach. Nikt by nie zauważył, a już na pewno nie chłopiec.

Ale to mówi głos Catharsis, jego bliskości i mojego strachu. Podnoszę nogę z hamulca i ruszam z wolna. Tym razem zrobię to powoli. Przejeżdżam

i czuję każde pęknięcie i zgniecenie, każdy żal, każdy oślepiający ślad po szponach w moim umyśle. Kiedy jest już po wszystkim, zjeżdżam z mostu i parkuję na poboczu. Z tyłu mam całe pudełko chusteczek. Mogę płakać tak długo, jak zechcę.

*Ostatnie słowo* Suketu Mehty jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere (Gdzie indziej)* dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Last Word* by Suketu Mehta is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Suketu Mehta

# Ostatnie słowo

przełożyła Martyna Sajko

Ekspert od Nekrologów oferuje usługę: napisze twój nekrolog i zamieści go w dziale krótkich ogłoszeń w gazecie. „A jeśli umrzesz jutro?”, pyta bogatych i potężnych tego świata. „Czy naprawdę chcesz, żeby byle dziennikarzyna, goniony terminami, w pośpiechu zbierał do kupy kłamstwa albo niewygodne fakty dotyczące Twojego życia?”

Toteż Ekspert przyjdzie do ciebie, porozmawia z twoją rodziną i przyjaciółmi, po czym napisze pięciusetwyrazowy nekrolog, gotowy do wysłania do gazet z dniem twego odejścia. Nekrolog ten nie będzie może przykładem hagiografii, ale pokrótce nakreśli najlepsze momenty twojego życia, twoje osiągnięcia; wspomni o rodzinie, z którą faktycznie się zadajesz. „Jakkolwiek by patrzeć – argumentuje Ekspert od Nekrologów – za życia spędzasz tyle czasu na doskonaleniu swojego wizerunku; wynajmujesz ekspertów od public relations, dbasz o wygląd, ostrożnie udzielasz wywiadów, by pokazać się z jak najlepszej strony. Czyż nie powinieneś poświęcić nawet więcej uwagi temu najważniejszemu z artykułów, jaki o Tobie napiszą? Temu, który streści całe Twoje życie? Który będzie – dosłownie – ostatnim słowem o Tobie?”

Początkowo klientela Eksperta od Nekrologów składa się z szefów korporacji, prominentnych artystów, polityków, aktywistów. Z czasem odkrywa jednak, że zwykli ludzie także myślą o tym, jak chcą być pamiętani. Sprzedawcy butów, kierowcy autobusów czy agenci ubezpieczeniowi również chcą zamawiać nekrologi. „Może nie wyjdzie to w «New York Timesie» – rzecze handlarz winem – ale «Wine Trades Gazette» na pewno zamieści krótką notkę, więc chciałbym, żeby fakty się zgadzały. I nie chcę, żeby gadali z moją byłą żoną”.

Większość ludzi napotyka nekrologi, przerzucając strony gazet w poszukiwaniu czegoś innego; są gdzieś nad działem drobnych ogłoszeń i pod listą kursów giełdowych. Niewielu czyta je w internecie, bo kto dobrowolnie kliknie w zakładkę „Nekrologi”? Ekspert od Nekrologów wie, że jego zawód umiera, a jego umiejętności nie przejmie żaden uczeń.

Czasem przyjmuje zlecenia na inny typ nekrologu, wyłącznie w obiegu prywatnym; pisze wtedy nekrolog opisujący to drugie, sekretne życie. Pisze o miłościach zmarłej osoby, o skrytej w cieniu stronie jej serca. „W wieku lat trzydziestu pan H. zakochał się w kobiecie, która nie była jego żoną. Ten pozamałżeński związek miłosny trwał, z przerwami, przez następne trzynaście lat, dopóki kobieta ta go nie przerwała. Następnie pan H. szukał pocieszenia w ramionach prostytutek. Później miał dużo krótszy, roczny romans z prawniczką Z.D. Związek zakończył się, gdy dowiedział się o nim mąż Z.D. Od tamtej pory, aż do końca życia, pan H. był wierny swojej żonie, która nigdy nawet nie podejrzewała, że kiedykolwiek było inaczej”.

Czy to sekretne życie jest ważniejsze od tego publicznego? Pan H. zrobił imponującą karierę jako prawnik, odniósł wiele zwycięstw w imieniu swoich klientów, dokonał wielu czynów filantropijnych i był wzorowym obywatelem. Jak to się ma do wypełnionych dojmującym niepokojem piątkowych wieczorów, kiedy zostawiał kochankę nie wiedząc, z kim ona – piękna, samotna kobieta – spędzi weekend? Która część jego życia bardziej zajmowała jego myśli? Która jest bardziej warta zbadania, nawet jeśli nie naśladowania?

Pracując nad tymi prywatnymi zleceniami, Ekspert od Nekrologów nauczył się doceniać plotki. Wszyscy ci ludzie chodzący ulicami wielkiego miasta, skryci, pełni tajemnic... Plotki są naszą próbą dotarcia do tego sekretnego życia; o tym jest przekonany. Plotkując o kimś, oddajemy mu największą możliwą przysługę, ponieważ skraca to dystans między życiem, które przeżywamy, a tym, które sobie wyobrażamy; plotka jest mostem między nami a naszymi tajemnicami; plotka pozwala ujrzeć kogoś w pełni. Och, jakąż ulgą jest zdać sobie sprawę, że wszyscy podejrzewają prawdę i że nasza tajemnica jest publicznie znana.

Poza publikacją twojego nekrologu w gazecie (zapewnione dobre miejsce oraz, w wielu przypadkach, publikacja w gazecie twojego zdjęcia), Ekspert od Nekrologów przechowywać będzie listę wszystkich twoich przyjaciół,



znajomych, członków rodziny i partnerów biznesowych. Natychmiast po twoim odejściu prześle im twój nekrolog na eleganckim papierze, by wiedzieli, jak cię wspominać.

Z tymi właśnie przyjaciółmi, znajomymi, członkami rodziny i partnerami biznesowymi Ekspert od Nekrologów będzie się czasem spotykał, by zadać im dodatkowe pytania i poinstruować ich, jak mają się zachować, gdyby ktoś inny niż Ekspert zadzwonił do nich po twojej śmierci. Zadzwoni do twoich znajomych z liceum, dawnych kochanków, kochanek, do sąsiadów i nauczycieli z czasów twojego dzieciństwa, i poinformuje ich tak o twoich osiągnięciach, jak o twych wielu godnych pochwały czynach charytatywnych. Wysłucha też uważnie, co mieliby mu do powiedzenia, gdyby był, dajmy na to, dziennikarzem, zbierającym materiał do twojego nekrologu właśnie w chwili rozmowy. Czasem, prawdę mówiąc, udaje dziennikarza w takiej właśnie sytuacji – by uzyskać prawdziwą opinię rozmówcy.

„Mówi pan, że pamięta pana H. jako przeciętnego ucznia”, powie Ekspert dyrektorowi twojej szkoły średniej. „Tymczasem moje badania wykazują, że, jeśli chodzi o oceny, konsekwentnie utrzymywał się w czołowej jednej czwartej klasy. Uczestniczył w wielu zajęciach pozalekcyjnych, w tym w biegach, udzielał się w Klubie Młodych Pionierów. W ostatniej klasie został wybrany sekretarzem. Czy o tych faktach był pan łaskaw zapomnieć? Mimo wszystko minęło już trzydzieści lat...” Byłej żonie powie: „Rozumiem pani uczucia w stosunku do pana H. po tym, jak zostawił panią dla młodszej kobiety. Ale proszę wziąć pod uwagę ogromną ilość stresu, jaką spowodował u niego upadek biznesu. Do tego był ciągle w drodze, ciągle poza domem, a czyż nie leży w ludzkiej, zwierzęcej przecież naturze pragnienie bliskości?”

Jeśli była żona nie da się w ten sposób przekonać do zmiany swoich komentarzy na twój temat, Ekspert od Nekrologów użyje nieco mocniejszych argumentów. „Poza tym, nie można przecież powiedzieć, żeby wasze małżeństwo było w świetnej formie nawet przed pojawieniem się drugiej pani H. na scenie, prawda? Czyż pewne napięcia i problemy nie wynikały z, jakby to ująć, Pani braku entuzjazmu w małżeńskiej alkowie? Czyż nie zdarzało się, że mijały miesiące, kiedy to nie dzieliła pani z mężem łoża ani razu?” Jeśli na to Twoja była żona obrzuci Eksperta wyzwiskami i rozłączy się, zadzwoni on jeszcze raz lub wyśle list polecony.

„Jeśli będzie pani powtarzać te nieprawdziwe i niezasłużone ataki na dobre imię mojego klienta w przypadku, gdy po jego śmierci zwrócą się do pani media, wtedy ja, jako zazdrosny strażnik jego pośmiertnej reputacji, pozwę panią o oszczerstwo i wniosł będę o najwyższy wymiar kary przewidziany przez prawo. Ponadto posiadam dowody w sprawie pani historii w małżeństwie, a nie jest ona krystalicznie czysta. Czy chciałaby pani, by pani dzieci usłyszały o tym, jak pan H. otworzył drzwi do pokoju służby, by zastać panią i lokaja w sytuacji niepozostawiającej złudzeń co do natury waszej relacji? Może to brzmieć jak groźba, ale zapewniam panią, pani H., że nie ma się pani czego obawiać, jeśli będzie się pani trzymać prawdy o panu H. – pamiętać, że był zawsze troskliwym mężem, dobrym ojcem i panem domu, którego spotkała pani pewnego magicznego wieczoru na balu debutantów w Newport i z którym spędziła pani dwadzieścia pięć szczęśliwych lat, aż do chwili, w której, z niczyjej winy, postanowiliście oboje pójść każde swoją drogą. Nalegam, by zaniechała pani wszelkich negatywnych wspomnień, pani H. – nie przyniosą one pani nic poza szkodą na lata, które pani pozostały”.

Pewnego dnia do Eksperta od Nekrologów przyszedł siwiejący mężczyzna. Wszedł do jego biura w Financial District, otworzył drzwi i stał przez pewien czas na progu, niezdecydowany. Ekspert spojrzał na niego znad biurka. Założył, że naturalne to zawahanie wynikało z tego, iż człowiek ten przyszedł poprosić o pomoc z własnym nekrologiem. Teraz, kiedy już miał się za to zabrać, znalazł się w tym miejscu, pomyślał: tu o śmierć chodzi. Niedługo umrę.

Ale tak nie było.

– Potrzebuję pomocy w napisaniu nekrologu innego człowieka – powiedział siwy mężczyzna. – Słyszałem, że ma pan wejścia w gazetach i jest pan w stanie zamieszczać nekrologi.

– Chodzi o przyjaciela? O członka rodziny, który odszedł? Moje kondolencje.

– N i e o przyjaciela! – prawie wykrzyknął Stary Człowiek. Chwilę później, już spokojniej, dodał: – On nie był moim przyjacielem.

Stary Człowiek wyjaśnił sytuację. Mężczyzna, który umierał, był jego kolegą po fachu, w zasadzie dobrym przyjacielem z czasów studenckich. Obaj byli matematykami. Razem chodzili do liceum i razem studiowali. Ich przyjaźń zbudowana była na wspólnym uwielbieniu dla poezji liczb. Spacerując całymi nocami po cichych ulicach amerykańskich miast uniwersyteckich,

łóczęc się w zagraconych gabinetach na wydziale i przesiadując w suterenach w dzielnicach studenckich, dyskutowali o twierdzeniach i dowodach matematycznych tak, jak inni mężczyźni dyskutowali o kobietach i polityce.

Kiedy nadszedł czas na złożenie pracy doktorskiej, Stary Człowiek zaszył się w swym gabinecie na sześć miesięcy, nie widując się z nikim – ani ze swoim promotorem, ani ze studentami, ani nawet ze swoim przyjacielem. Stary Człowiek pracował nad przełomowym nowym wyjaśnieniem, tłumaczącym, dlaczego pewne liczby nieregularne, zwane sekwencją Planara-Mundta, zmieniają znak, kiedy zbliżają się do ekstremum  $\phi$ . Jego odkrycie nie miało żadnego praktycznego zastosowania, stanowiło jednak powszechnie pożądane intelektualne trofeum. W końcu pewnego wieczora, ogromnie podekscytowany, zaprosił swego przyjaciela do gabinetu. Przez całą noc objaśniał swój dowód, mówił o nieoczekiwanych drogach, które go doń przywiodły, i o nowo otwartych kierunkach badań w ich dziedzinie. Dzięki temu odkryciu, jak powiedział wtedy matematyk swojemu koledze, czuł się nieco bliżej Boga.

W następnym tygodniu kolega zgłosił pracę pod własnym nazwiskiem do wiodącego czasopisma matematycznego. Została natychmiast przyjęta; otrzymał nagrodę za najlepszą rozprawę doktorską oraz pełną posadę profesorską w Berkeley, jeszcze zanim skończył studia doktorskie. Stary Człowiek nie miał jak dowieść, że odkrycie należało do niego. Pracował nad nim w tajemnicy, a nic, czym zajmował się wcześniej w matematyce, nie wskazywało, by podążał w tym kierunku. Teraz nie mógł już nawet złożyć własnej rozprawy doktorskiej, gdyż oskarżono by go o plagiat. Odszedł ze studiów bez dyplomu i przez parę lat tułał się bez żadnego kierunku, znajdując pracę jako pomywacz, nauczyciel w gimnazjum i pan stopek. Nigdy się nie ożenił – nigdy nie miał dość pieniędzy, by utrzymać rodzinę. Przez pięćdziesiąt pięć lat w bezsenne noce rozmyślał nad tym, jak mogłoby wyglądać jego życie – i blisko śledził poczynania swojego dawnego kolegi, obsypywanego kolejnymi zaszczytami.

Profesor miał po kolei trzy żony – młode, piękne doktorantki. Latał z konferencji na konferencję po całym świecie, co zapewniało mu fundusze na ogromną kolekcję rzadkich książek. Teraz znajdował się na skraju bezbolesnej śmierci, leżąc w łóżku we własnym domu, otoczony dziećmi i wnukami.

Koledzy akademicy podziwiali jego heroizm w obliczu pewnej śmierci. Nie życzył sobie być sztucznie utrzymywany przy życiu. Jedna z gazet cytowała jego słowa: „Chcę umrzeć w spokoju, tak jak w spokoju żyłem”.

– Więc chce pan, żebym wyrównał wasze rachunki – powiedział Ekspert od Nekrologów, gdy Stary Człowiek skończył opowieść.

– Chcę czegoś więcej – odparł Stary Człowiek, pochylając się w fotelu w stronę Eksperta z nowym błyskiem w zasnutyach mgłą oczach. – Chcę, żeby pan wykrzywił jego obraz, chcę, żeby wyszedł na najgorszego potwora na świecie. Niech pan coś na niego wymyśli, coś okropnego. Chcę, żeby pamiętano go tak, że jego dzieci ze wstydu zmieniają nazwisko.

To była nowość dla Eksperta. Zastanowił się chwilę i poczuł, że ekscytuje go to wyzwanie; wziąć ludzkie życie i, poprzez sugestię, patrząc na te same fakty w nowym świetle i nakłaniając do tego innych, zmienić rzeczy pozytywne w negatywne, i *vice versa*. Weźmy filantropię: mamy człowieka, który wielkimi sumami wspomógł Amerykańskie Towarzystwo Walki z Rakiem. Czyż nie jest to jasna oznaka poczucia winy, daremna próba zadośćuczynienia ze strony człowieka, który zbił majątek na przemyśle tytoniowym, przyczyniając się do śmierci wielokrotnie większej liczby osób, niż jego darowizna pozwoli uratować? Czy może jest to heroiczny gest pioniera przemysłu w ostatnich dniach życia, współczesnego Carnegiego, który zgromadził ogromne bogactwo – nawet jeśli nie zawsze całkiem uczciwie – tylko po to, by rozdać je biednym; swego rodzaju zarządcy dóbr publicznych, gromadzącego majątek i zarządzającego nim dla dobra ogółu?

Nie po raz pierwszy Ekspert od Nekrologów pomyślał o sobie jako o kimś, kto nadaje kształt przyszłym wspomnieniom; wspomnieniom, które dopiero muszą się narodzić z faktów, bezkształtnych i plastycznych jak glina, tylko czekających na uformowanie zdolnymi dłońmi pamięci.

Ekspert od Nekrologów przyjął zlecenie Starego Człowieka i wziął się do pracy, zbierając i porządkując fakty z życia Profesora. Nie miał zbyt wiele czasu; śmierć nadchodziła, zostało mu najwyżej kilka dni. Zgromadził wszystko, co napisał Profesor, i wszystko, co napisano o nim. Było tego naprawdę dużo. Rozmawiał z jego kolegami ze świata akademickiego i z jego przyjaciółmi. Podając się za dziennikarza, przeprowadził wywiad z jego dwiema byłymi żonami – przy czym inni dziennikarze także zbierali informacje o życiu

Profesora, do ukazujących się codziennie pochlebnych artykułów o umiarkującym naukowcu; a nawet, w razie najgorszego, do nekrologów. Zastąpienie ich nekrologów własnym samo w sobie będzie od Eksperta wymagało najwyższego wysiłku. Pewnego wieczora Ekspert od Nekrologów spojrzął na sterty papierów, wszystkie dane w komputerze, wszystkie taśmy z zapisem wywiadów leżące przed nim na biurku. Jego zadanie było niezwykle trudne.

Profesor wydawał się wieść wyjątkowo niewinne życie – nawet jego były żony dobrze się o nim wypowiadały; rozumiały, że jego genialny umysł potrzebował więcej niż jednej partnerki dla inspiracji. Pomagał młodym matematykom zdobywać posady na uczelniach; jego dzieci wspominały go jako kochającego ojca, nawet jeśli czasem trochę roztargnionego. Inni matematycy wyrażali się o nim w tonie zarezerwowanym dla ludzi pokroju Eulera czy Ramanujana – „najważniejszy matematyczny umysł ostatniego półwiecza”, „całkowicie rewolucyjne podejście, które na zawsze zmieni naukowy krajobraz”. Princeton tylko czekało, żeby nazwać swój wydział matematyki jego imieniem. I nikt – ani jego współpracownicy, ani ci z jego mentorów, którzy jeszcze pozostali przy życiu, ani jego studenci – nie twierdził, ani nawet nie sugerował, że Profesor mógł przywłaszczyć sobie cudzą pracę.

Ekspert od Nekrologów wiedział, że pozostał już tylko jeden człowiek, od którego mógł uzyskać informacje potrzebne do zniszczenia reputacji Profesora.

Nie było mu nawet szczególnie ciężko dostać się do domu. Osiedle na przedmieściach, na którym mieszkał Profesor, nie było ogrodzone; nie obawiało się pobliskiego miasta. Ekspert wemknął się do sypialni na parterze domu Profesora przez półotwarte okno. Pielęgniarka spała w fotelu; na jej kolanach leżała gazeta z horoskopem.

Ekspert od Nekrologów stanął przed Profesorem i wypowiedział nazwisko Starego Człowieka.

Profesor powoli otworzył oczy.

Ekspert wymówił nazwisko Starego Człowieka po raz drugi.

Profesor się uśmiechał.

– Czy już czas? – zapytał Eksperta. – Pewnie już czas, skoro przyszedłeś. To na ciebie czekałem przez te wszystkie lata.

I Ekspert od Nekrologów trzymał Profesora za rękę, gdy ten odchodził.

*Archipelag* Marcusa Sedgwicka jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere* (*Gdzie indziej*) dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Archipelago* by Marcus Sedgwick is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Marcus Sedgwick

# Archipelag

przełożyła Natalia Chycka

*Wśród niewielkiej gromady wysp leżących między North Uist i Harris znajduje się jedna, która w najszerszym miejscu osiąga pięćset metrów, zaś w najdłuższym niespełna trzy razy tyle. Z tego, co udało się ustalić, nigdy nie doczekała się gaelickiej nazwy; a kiedy jej terenami zainteresowali się wiktoriańscy turyści, nieoficjalnie nadano jej pierwszą i ostatnią nazwę, jaką kiedykolwiek miała – Gdzie Indziej. Gdzie Indziej kształtem przypomina wykrzyknik; kropka na dole jest połączona z resztą wyspy jedynie wąskim przesmykiem, zaś jej stała populacja składa się z jednego mieszkańca. Mieszkający tam drobny rolnik wynajmował kiedyś swoje stare gospodarstwo wczasowiczom oraz podróżnikom szukającym miejsca na postój, teraz jednak już tego nie robi. W sierpniu 1995 roku zaginął tam nastolatek, przebywający na wakacjach zorganizowanych dla dzieci z dysfunkcyjnych rodzin. Od tamtej pory nikt się na wyspie nie zatrzymywał. Oto fabularyzowany opis wydarzeń owego feralnego lata.*

Nick zagania dzieciaki do kuchni. Naomi kończy załatwiać formalności z Aonghasem, sędziwym drobnym rolnikiem, który wynajął im swoje gospodarstwo praktycznie za grosze. Organizacja dobroczynna, dla której pracują, ma bardzo ograniczony budżet, a przecież już samo przewiezienie całej ich ósemki na wyspę kosztowało majątek; tanie lokum było więc prawdziwym darem od losu.

Z Aonghasem, choć bynajmniej nie da się go nazwać uosobieniem życzliwości, można się całkiem sensownie dogadać, natomiast sam czynsz, choć

niewielki, prawdopodobnie jest dla niego wystarczającą zachętą, by zadbać o samopoczucie i wygodę gości (mimo że miejscu daleko do pięciogwiazdkowego hotelu, co zresztą nie uchodzi uwagi dzieciaków).

Wszyscy sześcioro – trzy dziewczynki i trzech chłopcy – stoją w miejscu i wlepiają wzrok w podłogę, unikając swych spojrzeń. Jest późno, są zmęczeni. Dziewczynki bawią się z kilkoma kotami, które najwyraźniej stanowią integralną część wynajmu. Chłopcy siedzą przy ogromnym kuchennym stole, a dookoła na podłodze leżą ich wciąż jeszcze nierozpakowane torby.

Nick spogląda na dzieci, nie po raz pierwszy zastanawiając się, czy jego praca rzeczywiście jest tak wartościowa, jak lubi o niej myśleć. Zarówno on, jak i Naomi, działają w organizacji już od pięciu lat – to wystarczająco długo, by ich początkowy zapał zaczął powoli przygasać, choć oczywiście nie aż tak długo, by dopadło ich zgorzknienie.

Lecz jeśli chodzi o takie właśnie wycieczki – których zorganizowanie trwa całą wieczność i które sprowadzają się tylko do tego, by wyrwać z Londynu sześcioro młodych ludzi i wywieźć ich w jakieś odległe miejsce – to... po co to wszystko? Nick dobrze wie, jakie cele postawiła sobie organizacja w swoim oficjalnym statucie, i gdyby ktoś skrytykował jej działalność, wpadłby w gniew, zapamiętała jej broniąc, lecz, doprawdy, czy tygodniowy pobyt na odległej szkockiej wyspie rzeczywiście mógł „diametralnie zmienić” życie tych młodych ludzi? Stworzyć im „nowe możliwości”? Przyczynić się do ich „lepszego rozwoju”? Czy też prędzej zanudzić ich na śmierć?

Naomi wraca do reszty grupy i z westchnieniem zatrzaskuje za sobą drzwi.

– Jestem padnięta. Herbata?

Niallowi jak zwykle nie zamyka się buzia.

– Może ona jest jak ten kangur – paple jak katarynka, w typowy dla siebie sposób połykając sylaby. Choć jako czternastolatek przewyższa pozostałych chłopców wiekiem, raczej nie dorównuje im dojrzałością. Jego życie obraca się wokół książek i filmów i do nich też ogranicza się jego wiedza na temat wszelkich życiowych problemów.

Becca najwyraźniej nie jest aż tak zmęczona, by nie mogła przyłączyć się do wygłupów Nialla.

– Jak kangur? – Śmieje się, natychmiast zapominając o kotach.



– No tak – wyjaśnia Niall. – Wyspa. Nick powiedział, że nie ma żadnej nazwy, prawda, Nick? To znaczy żadnej celtyckiej nazwy, tylko Gdzie Indziej, a przecież to okropnie głupia nazwa, obojętnie dla jakiego miejsca. Ale może było z nią tak samo jak z tym kangurem. No bo wiecie, jak biali zaczęli osiedlać się w Australii i zobaczyli wielkiego skaczącego stwora, który wyglądał zupełnie jak królik, tylko że był ze dwadzieścia razy większy, to zaczepili jakiegoś tubylca – no wiecie, Aborygena – i zapytali, co to jest, a on im na to, że „kan-gur”. A to po prostu znaczyło: „nie wiem”.

Becca znowu się śmieje.

– Ale zmyślasz!

– Wcale nie – mówi Niall bez cienia urazy. – Nick, to prawda, no nie? No więc może z tą wyspą było tak samo. Może ktoś przybył na kontynent niedaleko stąd, zobaczył wyspę i zapytał: „Jak nazywa się tamto miejsce?”, a jakiś tubylec odpowiedział: „Och, chodzi o tamten skrawek ziemi? Nie, to już nie nasze terytorium. To już gdzie indziej”.

Nick uśmiecha się.

– Interesująca teoria – mówi. Nikt oprócz niego nie wygląda na zainteresowanego. – Ale wiesz, co jest prawdą na sto procent? Że na wielu mapach tej wyspy w ogóle nie ma.

Na tę wiadomość Dylan i nawet mały cichutki Robbie podrywają z zaciekawieniem głowy.

– Zamierzasz opowiedzieć nam jakąś straszną historię? – Uśmiecha się Naomi. – Może lepiej poczekaj z tym do jutra wieczorem, jak już trochę odpoczniemy.

Nick podnosi dłoń jak do przysięgi i wzrusza ramionami.

– To nie będzie żadna historia o duchach. To czysta prawda. Przez wiele lat o wyspę toczyły się zażarte spory. Był to teren prywatny, a jego właściciele – niewykluczone, że jacyś przodkowie Aonghasa – raczej nie przebierali w środkach, żeby powstrzymać rządową agencję kartograficzną przed prowadzeniem tutaj badań. Stwierdzili, że jest to jeszcze jeden absurdalny wymysł współczesnych czasów, bo skoro mogli bez problemu zobaczyć jeden koniec wyspy z drugiego, to niby dlaczego mieliby potrzebować jeszcze jakiegoś rysunku?

– Nie rozumiem, po co są koty.

To znowu Niall. Stwierdzenia tego typu już nikogo nie dziwią – nie po trzech dniach spędzonych z nim najpierw w niewielkim minibusie, a potem łódce kursującej między wyspą a kontynentem.

– Co masz na myśli, Niall?

– Psy to jeszcze rozumiem – mówi. – W psach widzę jakiś sens. Z psem można sobie przynajmniej porozmawiać.

– Ty mógłbyś sobie porozmawiać nawet i ze ścianą – mówi Becca.

– No tak, cóż, może i tak, ale wolałbym już rozmawiać ze ścianą niż z kotem. One tylko siedzą i się na ciebie gapią. A potem chcą jeść. Dajesz im jeść. Mija kolejnych kilka godzin, podczas których znowu się na ciebie gapią. Albo śpią. No i gdzie tu sens?

Ruby, wycofana, zamknięta w sobie dziewczynka, kręci głową.

– Jesteś naprawdę dziwny, Niall.

– Hej – mówi Nick ostrzegawczym tonem, lecz Niall jak zwykle albo nie słyszy, albo go to nie obchodzi.

– No bo patrz na tego tutaj.

Kiwa głową w kierunku czarnego kota, który jakiś czas temu wskoczył na półkę nad piecykiem i teraz siedzi tam, łypiąc na nich złowrogo.

– Chodzi mi o to, że w najlepszym razie jest to bardzo humorzasty zwierzak, a w najgorszym – kumoter diabła!

– Co to „kumoter”? – pyta Dylan.

– Wspólnik. Partner. Towarzysz zbrodni. Przyjaciel. Kumpel – mówi Nick.  
– Coś w tym stylu.

– To czemu nie możesz po prostu powiedzieć „przyjaciel”, Niall? – pyta Dylan.

– Bo to nie byłoby już takie fajne. „Kumoter” jest znacznie fajniejsze.

Kumoter. Sam spróbuj.

Dylan próbuje.

– Kumoter – mówi z namysłem. Uśmiecha się. – No, masz rację. Kumoter. Kumoter. Kumoter, kumoter, kumoter.

Po chwili słowo powtarzają już wszyscy, nawet Ruby. Nick i Naomi wymieniają zmęczone, lecz szczęśliwe spojrzenia, po czym wysyłają całą zgraję, żeby się rozpakowali.

Po kolacji chłopcy jeden po drugim czmychają do łóżek, dziewczynki zaś decydują się iść spać o tej samej porze; Nick i Naomi siedzą sami przy ogniu, bezowocnie próbując go trochę podsycić.

– Coś czuję, że może nam się udać – mówi Nick.

– Zaczekaj z takimi prognozami do trzeciego dnia. Zero telewizji, zero gier komputerowych. Połowa z nich nie czyta. Wyspa jest mniejsza niż większość centrów handlowych, a na dodatek jest na niej o wiele mniej do roboty, no, chyba że jest się fanem owiec. A poza tym, jak sam doskonale wiesz, to wszystko są dzieci z poważnymi problemami.

– Tak na marginesie, czy tu naprawdę jest sierpień? Co za zimnica. – Nick znowu grzebie w palenisku. – Wiem, że mają problemy, ale radziliśmy już sobie z gorszymi przypadkami. Pamiętasz Portugalię?

Zapada krótka cisza i Nick uświadamia sobie, że Naomi może myśleć o czymś zupełnie innym, co zdarzyło się w Portugalii, oczywiście prócz tego, że „stworzyli nowe możliwości” kilkorgu naprawdę zagubionym dzieciakom. Czy też raczej o tym, co p r a w i e zaszło w Portugalii. Między nimi.

– No dobra, jak sobie chcesz – przerywa milczenie Naomi. – Ja w każdym razie wstrzymuję się od głosu. Zobaczymy, jak będzie jutro. Obawiam się, że przy tej gromadce nawet nasze fantastyczne umiejętności mogą okazać się bezużyteczne.

– Będziemy nad nimi pracować stopniowo i łagodnymi metodami – mówi Nick. – Szybki marsz dookoła wyspy i budowanie fortecy z owczych bobków jeszcze przed obiadem. Czy coś w tym stylu.

– Umowa stoi – mówi Naomi z uśmiechem. – Ale nie przesadz, dobrze? Bo nie jestem na przykład pewna, na ile Niallowi spodobałyby się tego typu męskie rozrywki.

Nick udaje święcie oburzonego.

– Coś sugerujesz?

– No cóż – mówi Naomi. – S u g e r u j ę, że ten chłopiec to s t u p r o - c e n t o w y gej. Tylko jeszcze o tym nie wie.

– Cóż za stereotypowe myślenie. Tylko dlatego, że jest dokładny, schludny, zabawny i...

– Nazwanie kogoś gejem nie jest krytyką – mówi Naomi. – To chyba ty masz z tym jakiś problem, skoro tak uważasz.

– Dobra, niech ci będzie. A co z pozostałymi? Może ich też jakoś zaszfladkujesz, skoro już tak dobrze ci idzie?

– Nie ma sprawy. Ruby, spokojna dziewczyna. Tęskni za swoim chłopakiem. To bardzo poważna sprawa w wieku czternastu lat, sam rozumiesz. Clary, rodzice hipisi. Wszystko się może zdarzyć. Becca, rodzice artyści. Zbyt bystra, żeby mogła na tym dobrze wyjść.

– No to już doprawdy...

– Mówię poważnie. Znam ten typ. Co do Nialla, to cóż, znasz moje zdanie. Dylan, zabawny, naczelny dowcipniś, ale myślę, że jest też bardzo praktyczny. Widziałeś, jak pomógł z torbami? Nawet nie musiałam go o nic prosić, sam się do tego rwał. Robbie, no cóż, Robbie... Robbie to już trochę twardszy orzech do zgryzienia. Jest taki wyciszony. N a p r a w d ę wyciszony.

Nick wpada nagle w zadumę. Wycisza się.

– No cóż, biorąc pod uwagę, ile doświadczył przemocy, w zasadzie trudno się temu dziwić. Jeśli uda się nam go skłonić chociaż do jednego uśmiechu, uznam ten tydzień za sukces.

– Ja też. No cóż, jak zwykle trafiła się nam niezła mieszanka wybuchowa, prawda? Jeszcze jeden dowód na to, że patologia niejedno ma imię. Bo na przykład trzeba by się było naprawdę bardzo postarać, żeby zgadnąć, że z Beccą jest coś nie tak. Trzy próby samobójcze w wieku trzynastu lat. To już naprawdę nie przelewki.

Zapada milczenie.

Ogień wygasa. Jest im zimno i przysuwają się do siebie trochę bliżej. Nick obejmuje Naomi ramieniem.

– Nie jest a ż t a k zimno – mówi Naomi.

Nick opuszcza ramię i oboje kładą się spać.

Następnego dnia jest jasno, słonecznie i ciepło.

Wszyscy ośmioro stoją jak wryci przed gospodarstwem, wpatrując się z rozdziawionymi ustami w rozpościerające się przed nimi bezkresne morze.

– Jesteśmy jeno nędznym pyłem – mówi cicho Niall po bardzo długiej ciszy.

Nikt nie zaprzecza. Ten jeden raz wszyscy w lot pojmują, co ma na myśli. Wyspa – a przez najbliższy tydzień i c h wyspa – jest niczym okruch dryfujący na bezmiarze wód.

– To z Szekspira, Niall? – pyta Naomi.

Niall wyszczerza zęby.

– Cieszę się, że tak myślisz, ale to stuprocentowy Niall Marshall.

Stoją jeszcze chwilę dłużej.

– No dobra. – Nick dziarskim tonem przerywa milczenie. – Chodźmy na zwiady.

Tak też robią, choć nie wszyscy z równym entuzjazmem.

Niall trzyma się z „dorosłymi”, jak lubi nazywać Nicka i Naomi. Zaraz za nimi podążają Dylan, Robbie i Becca. Ruby i Clary ociągają się najbardziej, idąc w ogonie, lecz wcale nie wynika to z niechęci. Rozmawiają o chłopcach, a mówiąc „chłopcy”, bynajmniej nie mają na myśli Nialla, Dylana czy Robbiego.

Spędzają godzinę czy dwie na brzegu, nie robiąc zbyt wiele ani nie czując potrzeby, by zbyt wiele robić; a kiedy już, już mają wracać do gospodarstwa, na dalekim południu wyspy dostrzegają kropkę wykrzyknika. Jedyne, co łączy kropkę z resztą wyspy, to wąski pas kamieni, i już gołym okiem widać, że przy pierwszym lepszym sztormie zatopi go woda.

– O rany – mówi Dylan. – Patrzcie na to.

Wskazuje wzniesienie na kropce, gdzie dostrzegł coś, czego nie widzi jeszcze nikt inny – starożytny kamienny krąg, przypominający długie, strzeliste palce celujące w niebo.

– Możemy tam iść? – pyta Nicka.

Nick kiwa głową.

– Koniecznie. Po obiedzie. Chodźmy.

Udają się na Kropkę, przechodząc gęsiego przez cienki przesmyk, a następnie spędzają sporo czasu, chodząc dookoła ośmiu głazów, oglądając je z zadartymi głowami, dotykając ich, opierając się o nie i chowając się za nimi.

Nie mija pół godziny, kiedy Clary – ostatnia osoba, po której można by się tego spodziewać – mówi:

– Wiecie co? To by było całkiem fajne miejsce na biwak. Taki na noc. Nick, mówiłeś, że będziemy mogli zrobić sobie raz biwak.

– Powiedziałem, że m o ż e będziemy mogli. Nie mamy namiotów. To musiałyby być bardzo spokojna noc.

– Ale moglibyśmy rozpałcić wielkie ognisko i sobie coś na nim gotować, a do spania przynieść nasze śpiwory.

Entuzjazm Clary jest równie nieoczekiwany, co zaraźliwy.

Wszyscy, nawet Ruby, przyznają, że pomysł brzmi nieźle.

W drodze powrotnej do gospodarstwa Naomi puszcza do Nicka oko.

– Widzisz? Rodzice hippisi. To już kolejny piątek, którego mi wisisz.

Nick przypomina jej, że wcale się nie zakładali.

– No cóż, to w każdym razie teraz stawiam piątaka, że do rana wytrwa tylko część.

– A co, myślisz, że serio zrobimy sobie biwak?

– No pewnie, a dlaczego nie? Przecież powinniśmy wspierać wszelką inicjatywę, prawda?

Nick uśmiecha się.

– Słusznie. W takim razie czekamy na pierwszą spokojną noc.

Lecz nie zanosi się, by ta miała nadejść prędko.

Najbliższe dwie bynajmniej nie są spokojne. Bładym świtem, następnego dnia po przyjeździe, Becca stawia cały dom na równe nogi serią histerycznych wrzasków.

Nie chce z nikim rozmawiać ani niczego wyjaśniać; ostatecznie Naomi schodzi na dół i siedzi z nią na tapczanie, dopóki ta nie zasypia. To zaś następuje dopiero wtedy, gdy zza gór na kontynencie zaczyna wyglądać słońce.

Następnego nocy Dylan zaczyna gwałtownie wymiotować; okazuje się, że jest uczulony na czerwoną paprykę i po prostu zapomniał o tym komuś powiedzieć. Na obiad jedli zupę z pomidorów i papryki.

Tak więc dopiero czwartej nocy po przyjeździe wybierają się na Kropkę. Przygotowania zajmują im cały dzień. Na wyspie nie ma żadnych drzew, ale w szopie znajdują stos roztrzaskanych desek, które mogą wykorzystać jako rozpałkę. Nick, Dylan, Robbie i Becca spędzają całe popołudnie, znosząc drewno na miejsce; potrzebują na to aż czterech tur, a może nawet i pięciu. Naomi, Clary, Ruby i Niall pakują jedzenie, które łatwo przygotować na ognisku: ziemniaki w folii aluminiowej, kiełbaski i fasola.

– To właśnie lubię z jedzeniem na biwak – mówi Niall. – Zero warzyw.

Naomi zastanawia się, ile razy faktycznie był na obozie. Zna jego życiową sytuację, wie o jego problemach. Jego udawana beztrojska sprawia, że coś ściska ją w gardle. Lecz w zasadzie tak właśnie często bywa z dziećmi takimi jak Niall. Chęć życia ostatecznie bierze górę nad wszelkimi trudnościami. Czasami.

Schodzą ku kamiennemu kręgowi, niosąc swoje śpiwory.

Słońce zaczyna zanurzać się w morzu; wieczór jest całkowicie spokojny i cichy.

Stoją beczynn timer kilka chwil, aż w końcu Nick stwierdza, że powinni zabrać się do rozpalania ogniska. Tak też robią. Nie mają z tym najmniejszego problemu – drewno jest stare i kto wie, od jak dawna zalegało w szopie za domem.

Już niebawem ogrzewają sobie palce u stóp, wyjadają jedzenie z puszek i czekają, aż upieką się im ziemniaki.

To Niall mówi:

– Osiem.

– Co znowu? – Śmieje się Becca.

– Osiem kamieni! Nas też jest ośmioro. Po jednym na każdego. To dobrze, przynajmniej nie musimy się kłócić.

– Kłócić?

– No bo przypuśćmy, że byłoby nas dziewięcioro. Musielibyśmy ciągnąć losy.

– No to niech każdy sobie jakiś wybierze – proponuje Clary.

Kiedy ziemniaki są już gotowe, wszyscy biorą sobie po jednym i wracają pod swoje kamienie.

– Jak myślicie, kto zbudował to miejsce? – pyta Robbie tak cicho, że aż trudno uwierzyć, że się w ogóle odezwał. Nikt nie odpowiada, bo nikt nie wie.

Ciemność pogłębia się i mimo bezwietrznej pogody zaczyna robić się zimno. Płomienie drgają.

Nick podchodzi do ogniska i próbuje je podsycić, dorzucając jeszcze kilka starych desek.

Wraca, ale już nie pod swój kamień, tylko ten wybrany przez Naomi. Siada obok niej. Dzieciaki rozmawiają przyciszonymi głosami, a wszystkie wyglądają na zupełnie spokojne.

– Coś mi mówi, że mam szansę wygrać tego piąta.

Naomi śmieje się bezgłośnie i oboje siedzą, przez dłuższą chwilę wpatrując się w płomienie.

– Czy teraz jest wystarczająco zimno? – pyta nieśmiało Nick.

Naomi wie, co ma na myśli.

– Prawie – mówi. – Pra-wie.

Pogrążają się w cichej rozmowie, nie zwracając uwagi na zupełnie inne szepty dobiegające znad brzegu, rzut kamieniem od miejsca, w którym kulą się z zimna.

– Chyba wszystko będzie dobrze – mówi Naomi. – Miałeś rację.

Nick uśmiecha się w ciemności.

Nagle, niczym twardy, głęboki sen, zapada absolutna cisza.

Nikt nic nie mówi.

Noc rozdziera przenikliwy krzyk Becki. Tylko jeden, a kiedy przebrzmiewa, znów zapada cisza. Wszyscy natychmiast odwracają się w jej stronę, żeby zobaczyć, co się stało; ma szeroko otwarte oczy i wskazuje palcem na Nialla, a raczej na coś tuż ponad jego ramieniem.

Jej usta poruszają się, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Wszyscy spoglądają we wskazanym kierunku – wszyscy poza Niallem, który zamarł w bezruchu, sparaliżowany strachem na widok przerażonej twarzy Becki.

Pozostali natomiast wpatrują się w inną twarz – nie ludzką, niezupełnie. Z mroku, rozproszonego jedynie dogasającym już ogniem, wyłania się twarz, która zdaje się wisieć tuż za Niallem. Ciemnoniebieska skóra istoty lśni w blasku płomieni. Jest mokra, jak gdyby stwór dopiero co wynurzył się z morza i podpełzł do kamiennego kręgu. Jego głowa jest łysa, ramiona nagie, zaś resztę ciała skrywają ciemności.

Niebieska skóra, oczy niczym puste, czarne dziury.

– Niall – syczy Nick. – Nie ruszaj się.

Niall unosi rękę i pokazuje palcem Nicka.

– Za tobą też coś jest.

I wówczas zdają sobie sprawę, że dziwne twarze znajdują się za każdym z nich. Wszystkie są bez wyrazu, nieprzeniknione. Nie ma na nich śladu ani wrogości, ani gniewu, ani strachu, ani życzliwości.

Niebieska skóra, czarne oczy.



A potem znów osuwają się w ciemność; dopiero kiedy znikają, Becca zaczyna krzyczeć.

– Już dobrze, już dobrze – woła Nick, szybko do niej podbiegając. – Już sobie poszli. Czymkolwiek byli, to już ich nie ma.

Lecz Becca zauważyła coś, co umknęło uwadze pozostałych.

– Tak samo jak i Robbiego. Nie ma Robbiego. Nie ma go. Wzięli go ze sobą.

Wszyscy odwracają się w kierunku kamienia, gdzie jeszcze przed chwilą siedział mały, cichutki Robbie, pałaszując swojego ziemniaka.

Szukają w ciemności przez wiele godzin, a potem za dnia, kiedy robi się jasno, aż do przybycia policji.

Nie znajdują go.

Na ziemi leży jego pusty śpiwór – niewyszukana pamiątka po chłopcu z problemami.

*Sassuolo* Eleanor Thom jest jednym z pięćdziesięciu opowiadań i esejów napisanych na temat *Elsewhere (Gdzie indziej)* dla Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

*Sassuolo* by Eleanor Thom is one of fifty short stories and essays written on the theme of *Elsewhere*, commissioned by Edinburgh International Book Festival ([www.edbookfest.co.uk](http://www.edbookfest.co.uk)).

Eleanor Thom

# Sassuolo

przełożyła Ariadna Grzona

Nazwa Sassuolo przywodzi mi na myśl dziury, ser z mnóstwem dziur. Nigdy nie widziałam tam żadnych dziur, ale gdzieś musieli kopać, bo potrzebowali gliny. W regionie produkowano miliony kafelków. Cała okolica usiana była fabrykami. Było gorąco, a temperaturę podnosiły jeszcze wszystkie te grzejące piece i kurz, który dostawał się do nosa.

Kurz i smażone mięso, które Adriana podawała dwa razy dziennie, usypiały mnie, więc pomiędzy posiłkami chodziłam spać do swojego pokoju. Sassuolo było oddalone o pół godziny drogi i nie jeździł tam żaden autobus. I tak czułam się beznadziejnie. Miałam zapalenie spojówek. Moje życie wyglądało tak już od miesiąca: państwo Vaccaro, smażone mięso, kurz i kłapanie kapci z gumowymi podeszwami, które kazali mi nosić. Kłapały między stołem w jadalni a moim pokojem. Nagie stopy niszczą terakotę, twierdziła Adriana. W ogóle nie miała pojęcia o niektórych rzeczach. Myła naczynia dwa razy, zanim włożyła je do zmywarki, a ponieważ mój pokój znajdował się za kuchnią, często mnie budziła, stukając naczyniami i wieszając przybory kuchenne na hakach pod sufitem. Miała służącą, na którą uwielbiała krzyczeć, kiedy razem skrobały patelnie.

Mniej więcej wtedy, po miesiącu, postanowili zaradzić coś na moje znużenie. Siedzieliśmy przy stole. Kawałek kurczaka ześlizgnął się właśnie z patelni na mój talerz, a mały telewizor w rogu nadawał MTV Italia.

– Adriana. Sól – powiedział Signor Vaccaro.

Odsunęła krzesło, wróciła do kuchenki, podniosła młynek i położyła obok męża, wszystko to bez słowa. Zmiał warstwę soli na swoją porcję tłustej

wołowiny. Byłam z nimi właśnie z powodu Signora Vaccara. Miał pięć stóp wzrostu, był gruby i łysiał, a ja byłam jego opiekunką. J e g o, bo wszystkie dzieci Vaccarów – córka i dwóch synów – już dorosły i opuściły dom. Miałam uczyć Signora Vaccara angielskiego w zamian za łożko, mięso i co tydzień kieszeń pełną lirów od Adriana, ale jak dotąd nie wykazał zainteresowania.

– Już się nudzisz? – zapytała Adriana. Na początku próbowała zagadywać mnie o rodzinę królewską, ale do tej pory dała już sobie spokój.

Powiedziałam, że z oczami już lepiej. Zapalenie spojówek było tak ostre, że co rano całkowicie sklejały mi się powieki i musiałam wymacywać drogę do łazienki, żeby je umyć i w końcu otworzyć oczy. Za to przez infekcję dużo spałam i czas mijał szybciej. To była zaleta.

– Powinieneś coś z nią zrobić. To t w o j a *Inglesina* – powiedziała Adriana do Signora Vaccara.

Wzruszył ramionami i dalej jadł mięso.

– Lubi zwierzęta. Lubisz, prawda? – zapytała Adriana.

W ten sposób narodził się pomysł wizyty w stadninie.

Vaccarowie mieli sukę owczarka niemieckiego z długim, szorstkim futrem. Trzymali ją przywiązaną do drzewa. Był też szczeniak z krótkim futerkiem, który biegał wokół patio i szczekał na drzwi od kuchni. Miałam słabość do tego szczeniaka, chociaż to przez niego dostałam zapalenia spojówek. Raz wpuściłam go nawet do pokoju na noc. Wydawało mi się, że skuli się i pójdzie spać. Zamiast tego, jak tylko zgasiałam światło, zobaczyłam cień ogonka, który się podnosił, i usłyszałam, jak coś leje się na podłogę. Pobrudził całą terakotę, od jednego końca pokoju do drugiego. Musiałam wynieść psa na dwór i sprzątnąć, zanim Adriana by się dowiedziała. Kochała te kafelki bardziej niż cokolwiek na świecie.

Szczeniak mógł biegać, gdzie chciał. To suce współczułam bardziej. Tuż po przyjeździe kupiłam smycz, żeby móc uwolnić ją z łańcucha i wyprowadzić wokół domów. Robiłyśmy kółko co wieczór, gdy tylko zrobiło się wystarczająco chłodno. Czasem zatrzymywałam się, żeby pogłaskać jej szyję. Cała była pokryta kurzem. Ulice były puste, a domy nowoczesne, schowane za elektrycznymi bramami. W ogrodach rosły figi, cytryny i oliwki. To był sezon na figi, były pyszne, ale zakazane. Agresywne psy miały się za ogrodzeniami, strzegąc owoców.

Myślałam, że Signor Vaccaro zawiezie nas do stadniny, ale para czekała na mnie na zewnątrz przed frontowymi drzwiami. Oba samochody nadal stały w garażu. Robili to dla mnie. Z mojego zwyczaju wyprowadzania psa wynioskowali, że lubię chodzić. Signor Vaccaro miał na sobie ortalionowy dres w kolorze ciemnej purpury. Adriana stała przy nim, górując nad nim w szpilkach, białych jeansach i kolorowej bluzce Moschino. Jej włosy miały kolor czerwieni, jaką ma się tuż po farbowaniu. Zrobiła sobie trwałą i wysuszyła włosy z głową pochyloną w dół. Stanowili niezwykłą parę w dopasowanych do siebie okrągłych okularach przeciwsłonecznych. Poszłam przodem, a Vaccarowie zmieniali się za mną – ona kulejąc na zakurzonej ścieżce, on pocąc się w dresie.

Kiedy mnie doganiali, zadawali pytania. Interesowało ich moje życie uczuciowe. Szczegóły zatrzymałam dla siebie, ale tego lata pojawiło się już trzech chłopców. Wszyscy z nich byli przyjaciółmi synów Vaccarów, których poznałam w sobotę, dzień mojego przyjazdu.

Pierwszy chłopak pewnego wieczoru zabrał mnie do Reggio Emilia, gdzie spacerowaliśmy wokół średniowiecznych budynków. Tam też był kurz, a wszystkie sklepy i kawiarnie były pozamykane. Opowiadał o historii i swojej pracy, a potem złapał mnie za rękę, czego właściwie nie chciałam. Ledwie ukończyłam szkołę i myślałam, że był zbyt stary, żeby bez pytania łapać mnie za rękę. Później zatrzymaliśmy się w restauracji. Zajęliśmy stolik na zewnątrz, obok pary, która dzieliła się mozzarellą. To była mozzarella w jednym kawałku, okrągła, biała i śliska. Leżała między mężczyzną i kobietą, jakby była dopiero co ukręconym jedwabiem. Pieścili się z nią, obierając warstwy i powoli karmiąc się nawzajem. Mój partner narzekał, że nie patrzyłam na niego, kiedy mówił. Widocznie inni poświęcali mu na ogół więcej uwagi, ale ja nie mogłam przestać patrzeć na tę drugą parę. Wpatrywali się w siebie podczas obierania księżycy.

Cieszyłam się, gdy kilka dni później pierwszy chłopak wyjechał do Ameryki. Przyniósł do domu żółtą różę i wręczył mi ją w obecności Vaccarów. Nalegali, żebym ją zatrzymała i powiesiła do góry nogami, żeby wyschła i została ze mną na zawsze.

Drugi chłopak zabrał mnie wietrzną drogą do miejscowego ekskluzywnego klubu z basenem. Nasze komplety pływackie leżały na tylnym siedzeniu,

zawinięte w ręczniki niczym opatulone dzieci. Chłopak mówił i szczerzył się. Gdy teraz go wspominam, myślę o zębach. Na prostej drodze puszczał kierownicę i próbował włożyć rękę pod moją krótką spódniczkę. Miałam ochotę oznajmić mu, że to nie wchodzi w grę, że to tak, jakby pójść do kina i podjadać popcorn komuś innemu. Ale zabrakło mi jaj, żeby to powiedzieć. Skrzyżowałam więc nogi, patrzyłam przez okno, a na basenie odmówiłam wejścia do wody. Cały czas miałam zapiętą spódniczkę i czytałam książkę.

Marcello, ostatni z nich, był nieco inny. Lubiłam Marcelła, a on lubił mnie. Vaccarowie pewnie od razu się domyślili, bo rozmawiałam z Marcellem przez telefon. I tak im nie powiedziałam. Nie zagłębiałam się w szczegóły.

W stadninie szpilki Adriany wbijały się w końskie łajno i brud. Schylała się, żeby spróbować zetrzeć czerwony kurz ze swoich białych kolan. Zajrzeliśmy do boksów. Wybrali beżowego konia. Zabrano mnie do innego pomieszczenia, żebym przymierzyła kaski. Adriana patrzyła, jak kiwam się w siodle, a Signor Vaccaro patrzył w dal. Chmury kurzu wzlatywały z fabryk kafelków.

– Nie jeździ jak *Inglesina* – skomentowała Adriana.

Jazda w upale była trudna, ale cieszyłam się, że wyszliśmy z domu. Jeździłam tam prawie dwie godziny. Vaccarowie czekali. Kiedy wróciłam, zastałam ich z ramionami przewieszonymi przez płot, tak że drewniane sztachetki wpijały im się w pachy. Okrągłe okulary skierowali w stronę słońca.

Nie wiedzieli o tym, ale przejrzałam nieużywane szuflady w swoim pokoju. W większości Adriana trzymała tam zimowe ubrania, futrzane płaszcze, kaszmiry, pianki narciarskie, srebrne śniegowce. Na dnie kredensu tkwiła sterta starych gazet ze zdjęciami brytyjskich monarchów na okładkach. Rodzina królewska stała sztywno przed swoim pałacem w płaszcach marynarskich, jedwabnych krawatach, wymyślnych kapeluszach i szarych garniturach. Prawdziwi *Inglesini*. Ale to właśnie między tymi gazetami znalazłam włoski przekład poradnika seksualnego. Usiadłam na chłodnej terakocie i przekartkowałam znalezisko. Były tam proste rysunki par robiących to w różnych pozycjach, on na górze, ona na górze, uda jednego owinięte wokół ud drugiego i prawie wszystkie inne kombinacje, oprócz odwrócenia się do siebie nawzajem plecami. Był cały rozdział o tym, jak kobieta może lizać męską twardość, a jeśli to się znudzi, jak wiązać wokół niej krawaty i koraliki, zupełnie jak małemu pieskowi. Może Adriana

robiła tak z szalikami Gucciego, którymi dekorowała szyję. Chciałaby też pomalować mężczyznę lakierem do paznokci i cieniami do powiek. Adriana lubiła odpowiednią prezencję. Odłożyłam książkę i zakopałam ją głęboko, upychając penisy pomiędzy tak uwielbianą przez Adrianę księżną Dianę, królową oraz pryszczate twarze książąt Williama i Harry'ego.

Marcello był nieśmiały w kwestii swojego ptaszka. Kilka dni wcześniej byliśmy w parku i leżeliśmy na trawie. Kiedy zrobiło się zimno, przytulił się do mnie, ale cały czas odsuwał biodra, żeby ukryć, jak bardzo mnie lubi. Nie przeszkadzało mi to. Opowiadał mi o swojej mamie, która drapała go po plecach. Drapała mu plecy, kiedy był małym chłopcem, codziennie przed szkołą, kiedy jeszcze leżał w łóżku. Spędził godzinę, bawiąc się moimi dłońmi. Ruszał każdym palcem, aż przez dłoń przechodziły ciarki, robił kółka na skórze knykciów i masażem rozgrzewał pulchne części. Potem moje ręce zmieniły się w dotyk, stały się giętkie, jakby zanurzył moje kości w miodzie.

Musiał pójść do domu po kurtkę. Miał mieszkanie niedaleko głównej drogi. Mieszkał z matką. Nie mieli ogrodu ani psa, a mieszkanie miało wąski korytarz z pięcioma albo sześcioma drzwiami po obu stronach. Pomiędzy dwoma z nich stała szklana szafka z trofeami, błyszczącymi złotem i srebrem w przyciemnionym blasku lampy. Wszystkie zdobył Marcello. Jego matka była z nich dumna, więc trzymała je na widoku. Widział, jak na nie patrzyłam. Powiedział, że wygrał je w konkursach włoskiego tańca, kiedy był mały. Chciałam, żeby mi pokazał, ale się nie zgodził. Twierdził, że nie starczyłoby miejsca.

Marcello otworzył drzwi do swojego pokoju. Był mały, z jednoosobowym łóżkiem, na którym pościel była zmięta i zepchnięta w tył. Wyobraziłam go sobie jako małego chłopca, leżącego z głową na ramionach, gdy jego matka przyszła go obudzić, drapiąc jego szczupłe, różowe plecy. Podniósł ramkę z szafki za drzwiami i pokazał mi, jak wyglądał w czasach, kiedy tańczył. Chłopczyk na zdjęciu miał około dziewięciu lat i nosił zielony garnitur, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam. Marcello założył kurtkę i wcisnął portfel do tylnej kieszeni, zanim wyszliśmy wieczorem. Jakiś czas później wszedł do baru i poprosił o ołówek. Zapisał nim adres swojego mieszkania w niebieskim notatniku, który kupiłam w muzeum w Londynie, żebyśmy pozostali w kontakcie, gdy wrócę do siebie.

Nogi bolały mnie po jeździe konnej, a do domu musiałam iść pod górkę. Adriana wysunęła się daleko naprzód, stawiając duże kroki, żeby nie przewrócić się w swoich szpilkach. Trzymałam się z tyłu. To był jeden z tych wieczorów, kiedy nie zrobiło się chłodniej. Słyszałam za sobą Signora Vaccara, walczącego o oddech. Musiał robić przerwę co kilka kroków.

– Wszystko w porządku?

Nie miał powietrza, żeby mi odpowiedzieć, ale kiwnął głową i ponaglił mnie ręką. Zdawał się uśmiechać, ale po chwili uśmiech bezdźwięcznie zniknął. Signor Vaccaro upadł. Trochę chwiał się na kolanach, potem przewrócił się w tył. To stało się szybko, bez hałasu i walki o oddech. Po prostu osunął się w dół i po wszystkim. Patrzyłam, jak zwiijał się w kurzu z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, z niewypowiedzianą samogłoską, która utknęła jak brzoskwinia między jego wargami. „A” – chyba właśnie to chciał powiedzieć.

A.

– Adriana!

Krzyknęłam trzy razy, zanim mnie usłyszała. Wydała z siebie dziwny, wysoki krzyk zaskoczenia i natychmiast zbiegła ze wzgórza, żeby sprawdzić, w jakim był stanie. Kilka razy zawołała jego imię, ale leżał w bezruchu jak martwy. Kiedy jeden z obcasów przechylił się Adrianie pod dziwnym kątem, potknęła się i skręciła kostkę. Kopnęła but przez ulicę.

– Do diabła z tobą! – krzyczała na niego.

Po tym się poddała. Wciąż mając na nodze jedną szpiłkę, pokuśtykała w stronę domu jak trzynożny pies. Stamtąd mogła zadzwonić po pomoc. Myślę, że to była szybka decyzja.

Zostałam sama. Rozpięłam górę dresu Signora Vaccara. Trzymał w dłoni okrągłe okulary, ścisnął je bardzo mocno. Zdjęłam kardigan, który wcześniej przewiązałam w pasie, i podłożyłam pod jego głowę jak poduszkę. Sprawdziłam puls, dotykając szyi. Po jego skórze ściekały krople potu, mocząc mu kołnierz. Nie wyglądał blado, ale wydawało mi się, że po prostu by nie mógł. Jego skóra była tak opalona, że wyglądała jak wyprawiona. Przypominała mi torbę z koziej skóry, którą kupiłam na targu w Camden. Pamiętam słowa straganiarza, który twierdził, że kupił ją na Bliskim Wschodzie. To był jego najpopularniejszy towar.



Znalazłam puls, ale nie potrafiłam ocenić, czy należał do mnie czy do Signora Vaccara. I tak nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić, poza odwróceniem go na bok i przechyleniem jego głowy do tyłu. Przesunęłam nogę i upewniłam się, że jego broda nie dotykała klatki piersiowej. Uznałam, że dobrze byłoby przenieść go w cień, ale nie mogłabym zrobić tego sama, więc po prostu siedziałam przy nim z ręką na jego ramieniu. Wypatrywałam karetki i nasłuchiwałam syreny. Szpilka Adriany leżała w rynsztoku jak pistolet.

Karetka i Adriana przybyły w tym samym czasie. Kobieta zmieniła białe jeansy na inne, a po drodze w dół zatrzymała się przy bucie i schowała go do torebki. Przez ten czas sanitariusze założyli Signorowi maskę na twarz i położyli go na łóżku, które podnosiło się i opadało na srebrnych kółkach. Adriana wręczyła mi klucz.

– Czy to pani córka?

Adriana wyjaśniła, że jestem tylko opiekunką. Chwyciła rękę ratownika i pozwoliła mu wprowadzić się do karetki, tuż za łóżkiem. W środku wyjaśniał jej, co robią z Signorem Vaccarem, a ona przez cały czas trzymała rękę ratownika w białej rękawiczce, a drugą się żegnała. Drzwi zamknęły się za nimi.

Trzymałam swój kołnierzyk między kciukiem i palcem wskazującym. To taki przesąd, którego nauczyłam się na wycieczce szkolnej: jeśli widzisz karetkę, trzymaj kołnierzyk, aż zobaczysz jakieś czworonożne stworzenie. Karetka odjechała. Patrzyłam na nią, aż skręciła gwałtownie u podnóża wzniesienia, potem stałam w ciszy. Słyszałam tylko rottweilera z domu naprzeciwko, czekał przez kratę bramy. Puściłam kołnierzyk.

Kilka dni później byłam na lotnisku. Signor Vaccaro był w szpitalu, prawie nie widziałam Adriany od czasu tego spaceru. Poprosiła służącą, żeby mnie odwiozła swoim małym, białym Fiatem, który pachniał jak ściereczki do kurzu.

– Brakuje ci mamy? – zapytała.

– Tak.

Powiedziała, że ma córkę w moim wieku.

– Pewnie jesteś zadowolona, że wracasz wcześniej.

Kiedy mnie podwiozła, powiedziała:

– *Buon viaggio, Inglesina.*

Powiedziałam jej, jak mam na imię.

– Tak naprawdę jestem Szkotką. Tylko mieszkam w Anglii.

Śmiała się tak bardzo, że musiała zdjąć okulary przeciwsłoneczne i wytrzeć oczy.

Było za wcześnie, żeby się odprawić. Wydałam dużą część swoich lirów na kartę telefoniczną i przetrząsnęłam torbę w poszukiwaniu niebieskiego notatnika. Rozmawiałam z rodzicami i znajomymi ze szkoły. Nie mogłam dłużej czekać. Chciałam wiedzieć, czy w Londynie świeci słońce.

Dwie godziny później jadłam trzykolorową sałatkę z dania obiadowego linii Alitalia. Pomidory, awokado i czysta mozzarella. Zastanawiałam się, co napisać w liście do Marcella. Było mi wstyd, że opuszczam go bez słowa. Nigdy nie powiedziałam mu, że mi się podobał. Skleiałam w głowie kilka zdań, ale kilka sekund później, na wysokości około trzydziestu tysięcy stóp, uświadomiłam sobie, że i tak nie mogłam do niego napisać.

Tak cieszyłam się z powrotu do domu, że zostawiłam swój niebieski notatnik na lotnisku. Wiedziałam, gdzie jest. Miałam go wyraźnie przed oczami. Został tam, a ktoś go pewnie znalazł i odkrył wszystkie poluzowane kartki, nabazgrane adresy i schludne, ołówkowe pismo Marcella. Leżał otwarty na górze budki telefonicznej.

# O autorach

GILL ARBUTHNOTT mieszka w Edynburgu, gdzie przez wiele lat uczyła biologii. Napisała swoją pierwszą powieść dla dzieci, *The Chaos Clock*, zainspirowana niezwykłym eksponatem w edynburskim muzeum. Od tamtej pory wygrała wiele nagród w kategorii książki fantastycznej oraz książki dla młodzieży. Jest również autorką podręczników.

ALAN BISSETT urodził się w Falkirk w Szkocji. Jest autorem czterech powieści – *Boyracers*, *The Incredible Adam Spark*, *Death of Ladies' Man*, *Pack Men* – a także wykładowcą, performerem i publicystą. Mieszka w Glasgow i często wypowiada się na łamach gazet na temat szkockiej literatury i nie tylko.

KAREN CAMPBELL urodziła się w Paisley w Szkocji. Jest autorką pięciu książek: *The Twilight Time*, *After the Fire*, *Shadowplay*, *Proof of Life* i *This is Where I Am*, z których pierwsze cztery to powieści kryminalne, a ostatnia opowiada historię uchodźcy z Somalii. Absolwentka Uniwersytetu w Glasgow, po studiach pracowała na policji. Jej debiut literacki wyróżniony został nagrodą dla najlepszego nowego szkockiego pisarza.

RODGE GLASS urodził się w Manchesterze, ale od 1997 roku mieszka w Szkocji. Jest autorem powieści: *No Fireworks*, *Hope for Newborns*, *Bring Me the Head of Ryan Giggs*, *LoveSexTravelMusic*, a także biografii Alasdaira Graya, za którą otrzymał nagrodę Somerset Maugham Award. Jest również współautorem kilkakrotnie nagradzanej powieści graficznej *Dougie's War: A Soldier's Story*.

DEBI GLIORI to szkocka autorka i ilustratorka popularnych książek dla dzieci. Napisała i zilustrowała między innymi bardzo lubianą, wielokrotnie nagradzaną serię o panu Misiu (*Mr Bear series*). Mieszka pod Edynburgiem.

KEITH GRAY urodził się w angielskim porcie Grimsby. Jest autorem kilkunastu książek dla młodych czytelników. Zadebiutował w wieku dwudziestu czterech lat powieścią *Creepers*, za którą otrzymał nagrodę brytyjskiej gazety „The Guardian”. Jego kolejne utwory również zdobyły wiele prestiżowych nagród, w tym Carnegie Medal, Costa Children’s Book Award, Scottish Book Trust Award i Smarties Book Prize. Jego powieść *Ostrich Boys* została zaadoptowana na sztukę teatralną.

BARRY HUTCHISON pochodzi ze szkockich *Highlands*. Jest autorem scenariuszy filmowych i telewizyjnych oraz książek dla dzieci. Jego ostatni duży projekt to seria horrorów dla najmłodszych zatytułowana *Invisible Fiends*.

DOUG JOHNSTONE to dziennikarz, muzyk i autor sześciu życzliwie przyjętych powieści: *Tombstoning*, *The Ossians*, *The Dead Beat*, *Smokesheads*, *Hit and Run* i *Gone Again*. Mieszka w Edynburgu. Jest doktorem fizyki nuklearnej.

MARGO LANAGAN to autorka opowiadań i powieści dla młodzieży, które cieszą się dużym powodzeniem nie tylko w rodzinnej Australii. Jej zbiór opowiadań *Black Juice* zdobył kilka prestiżowych nagród literackich (między innymi World Fantasy Award i Printz Honor Award) i został wydany w Australii, Wielkiej Brytanii oraz Stanach Zjednoczonych.

SUKETU MEHTA urodził się w Kalkucie, dorastał Bombaju, a dziś mieszka w Nowym Jorku. Jest autorem książki *Maximum City: Bombay Lost and Found*, wyróżnionej nagrodami: Kiriyaama Prize oraz Hutch Crossword Award, a także nominowanej do nagrody Pulitzera. Suketu Mehta wykłada na Uniwersytecie Nowojorskim, jego teksty publikowane są na łamach pism takich jak „The New Yorker”, „The New York Times Magazine” i „National Geographic”. Jest też autorem scenariusza do filmu *Mission Kashmir*.

MARCUS SEDGWICK to brytyjski pisarz, ilustrator i muzyk. Pochodzi z Kent w Anglii. Jest autorem kilkunastu książek dla dzieci i dorosłych, a także laureatem lub finalistą ponad trzydziestu nagród literackich, w tym Guardian Children's Fiction Prize, Booktrust Teenage Prize i Costa Children's Book Award. Jego pierwsza powieść *Floodland* została nagrodzona Branford Boase Award.

ELEANOR THOM urodziła się w Londynie, ale duża część jej rodziny pochodzi ze Szkocji. Jej debiutancka powieść *The Tin-Kin* zdobyła dwie ważne nagrody – New Writing Ventures Award i Saltire Society First Book of The Year Award.



# Spis treści

Słowo wstępu | 5

Gill Arbutnott *Dłonie Marilyn* | 9

Alan Bissett *Wraki nieboraki* | 19

Karen Campbell *Najwyraźniej* | 29

Rodge Glass *Po drinku możesz przewrócić świat do góry nogami* | 39

Debi Gliori *Dawno, dawno temu* | 49

Keith Gray *Banda z Brook* | 59

Barry Hutchison *Nieodebrana* | 69

Doug Johnstone *Surtsey* | 81

Margo Lanagan *Inny kraj* | 93

Suketu Mehta *Ostatnie słowo* | 103

Marcus Sedgwick *Archipelag* | 111

Eleanor Thom *Sassuolo* | 123

O autorach | 131

Projekt przygotowany w ramach programu „Kultura przekładu”, prowadzonego przez Centrum Translatoryczne Uniwersytetu Gdańskiego oraz Katedrę Translatoryki Instytutu Anglistyki i Amerykanistyki Uniwersytetu Gdańskiego.



CENTRE FOR TRANSLATION STUDIES  
CENTRUM TRANSLATORYCZNE



Dziękujemy Edinburgh International Book Festival oraz autorom oryginalnych tekstów za udzielenie zgody na dokonanie przekładów i umieszczenie ich w niniejszym e-booku.

Projekt, skład i łamanie: Maciej Goldfarth

Zdjęcie na okładce i s. 37: #części\_proste

Redakcja, korekta: #części\_proste

Koordinacja wydania: #części\_proste

Publikacja jest dostępna na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 3.0 Polska (CC BY-NC-ND 3.0 PL)



Wydawca:

#części\_proste

ul. Ludwika Waryńskiego 45B/3

80-433 Gdańsk

czesciproste.pl

wydawnictwo@czesciproste.pl

ISBN 978-83-942810-0-7